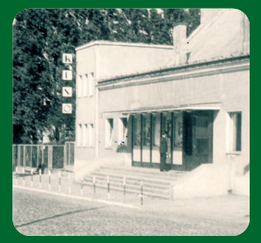


Tak kształtuje się tożsamość miasta, poprzez przekazywanie kolejnym pokoleniom opisów wydarzeń, tych codziennych i niezwykłych, a także przybliżanie sylwetek osób, które z miastem związane były od urodzenia lub przez większość swojego życia. Idea „Łapmy stare Piaseczno" doskonale wpisuje się w działania zmierzające do zrewitalizowania zdegradowanych obszarów miasta i przywrócenia im dawnej świetności.

Daniel Putkiewicz
I Zastępca Burmistrza Miasta i Gminy Piaseczno
Pełnomocnik ds. Rewitalizacji






Gmina Piaseczno

biuro promocji informacji Gminy Piaseczno

Małgorzata Kawka-Piotrowska
Mieszkańcy wspominają 2
Łapmy stare Piaseczno

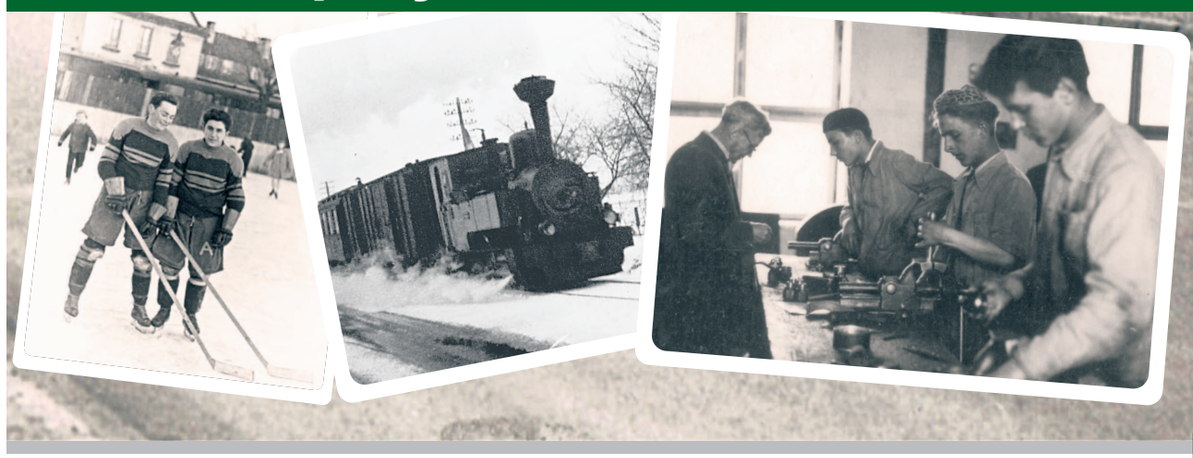
2

Mieszkańcy wspominają

Małgorzata Kawka-Piotrowska



Łapmy stare Piaseczno



spis treści_Layout 1 2016-12-28 08:42 Strona 1

Mieszkańcy wspominają część 2

Małgorzata Kawka-Piotrowska

spis treści_Layout 1 2016-12-28 08:42 Strona 2

Wydawca:
Urząd Miasta i Gminy Piaseczno
ISBN: 978-83-929529-1-6
Piaseczno 2017

Projekt okładki:
Tomasz Pawlak

Skład:
Tomasz Pawlak

Konsultacje i dobór zdjęć:
Małgorzata Szturomska, Stanisław Hofman

Korekta:
Małgorzata Idaczek, Anna Grzejszczyk,
Łukasz Wyleziński

Zdjęcia:
Jacek Mrówczyński, Małgorzata Szturomska, Tadeusz Tyszka, archiwum Muzeum Regionalnego, archiwa rodzinne.

spis treści_Layout 1 2016-12-28 08:42 Strona 3

Spis treści:

Wstęp 5

Halina Bójska
Od Młynarskiej po Nadarzyńską 7

Adam Gerstmann
Ćwierć wieku z wąskotorówką 13

Teresa Hałacińska
Najważniejsze miejsce 25

Henryk Kozłowski
Wspomnienie o pewnym domu 39

Irena Krawczyńska
Duszą miasta są ludzie 41

Henryk Kozłowski, Tadeusz Ładziński, Andrzej Zawiślak 55
Na trzy głosy opowieść o Laminie

Tadeusz Moskalewicz 67
Krótkie opowieści

Janina Niemczyk 71
Głoskowianka w Piasecznie

Wojciech Niemczyk 77
Obrazki z Piaseczna

Tadeusz Rudnicki 81
Byliśmy wtedy tacy młodzi

Andrzej Zawiślak 93
Obie strony ulicy Sienkiewicza

Wstęp_Layout 1 2016-12-28 08:43 Strona 4

Wstęp_Layout 1 2016-12-28 08:43 Strona 5

Wstęp

Oddajemy do rąk czytelnika książkę Małgorzaty Kawki-Piotrowskiej „Mieszkańcy wspominają" z serii „Łapmy stare Piaseczno", jest to druga część opowieści mieszkańców Piaseczna. Pierwsza część wspomnień została wydana w 2014 roku, okazało się, że szybko trzeba było dodrukować następne egzemplarze. Chętnych do posiadania książki w swoich bibliotekach było tak wielu, że i drugi nakład wyczerpał się błyskawicznie. Wydawca, czyli Biuro Promocji i Informacji Gminy Piaseczno podjęło decyzję o wydaniu drugiej części wspomnień mieszkańców.

Autorka książki i jednocześnie dziennikarka spisująca rozmowy z poszczególnymi autorami wspomnień Małgorzata Kawka-Piotrowska, wyszukała i tym razem osoby tak interesujące, że już po przeczytaniu trzech zaledwie tekstów poczuliśmy dumę z tego, że dano nam możliwość wzięcia udziału w tym projekcie. Posypały się wspomnienia osób uczestniczących aktywnie kiedyś i obecnie w życiu publicznym, tworzących piaseczyńską rzeczywistość, kierujących instytucjami takimi jak np. Grójecka Kolej Wąskotorowa. Ludzi biorących czynny udział w kształtowaniu się piaseczyńskich drużyn sportowych, budujących infrastrukturę miejską. Pracowników firm przemysłowych, które były znane na całym świecie i niestety znikły z mapy miasta. Opowiedziano tu historię zabytkowych willi, intrygujących mieszkańców miasta ciekawą architekturą, jak ta przy ulicy Czajewicza, wspomniano historię ich właścicieli i lokatorów, ludzi znaczących dla miejscowej społeczności. Krok po kroku odwiedzimy miejsce szczególne dla miasta, mam na myśli ulicę Nadarzyńską, barwną, ciekawą i trochę czasami niebezpieczną, ale zawsze frapującą czytelnika. Opisano tu historię bardzo ciekawą dla wszystkich lubiących pamiętniki i biografie, bo w tle tych wspomnień z maleńkich ojczyzn zawsze toczy się historia Polski, wydarzenia przeplatają się z wojną, epoką budowy socjalizmu i przełomem 1989 roku. Można rzec, mamy tu opisane dobrym piórem, wspomnienia elity piaseczyńskiego życia i nie są to tylko treści ważne tylko dla lokalnej społeczności. Myślę, osoba spoza Piaseczna znajdzie tu także dla siebie przydatne informacje z historii, socjologii i psychologii. Jest tu też ciekawe studium stylu życia mieszkańców małego miasta. I to jest wartość uniwersalna tej książki.

Jak bardzo jest rozpięty wachlarz czytelników tego typu wspomnień, przekonaliśmy się na promocji poprzedniej książki, która odbyła się w księgarni „Bzyk"- Mucha – Uchmanowicz i przyszli na nią czytelnicy z różnych środowisk społecznych, młodzi i starsi, mieszkańcy nowi i ci co mieszkają w Piasecznie od pokoleń. Jedni szukają w książce miejsc znajomych, dawnych przyjaciół, sąsiadów, kolegów szkolnych inni informacji o zabytkach. Książka ta, opowiada o zdarzeniach ciekawych, o stylu życia sprzed lat, a wszystko to składa się na historię miejscowości. Jednocześnie, muszę to bardzo mocno podkreślić - publikacja ta nie ma ambicji naukowych sensu stricto, mieszkańcy opowiadają wydarzenie tak jak je zapamiętali, relacje mogą się różnić np. co do tego, w którym miejscu miasta był zakład kra-

wiecki najlepszego krawca w Piasecznie, wręcz miejscowego dyktatora mody, albo jak potoczyły się losy danej rodziny, która zniknęła z Piaseczna w czasie wojny. Już po wydaniu poprzedniej publikacji, okazało się, że jeden z mieszkańców miasta uznany przez wszystkich za zaginionego odnalazł się po prawie 70 latach w dalekich krajach, żyje i ma się doskonale. I to jest też wartość wspomnień ujętych w książkę, której zawsze można dopisać ciąg dalszy.

Jeśli spodoba się Wam drodzy Czytelnicy i ten zestaw opowieści piaseczyńskich, a chcielibyście opowiedzieć o losach swoich, swojej rodziny i przyjaciół zachęcamy do udziału w tworzeniu następnej serii artykułów.

Małgorzata Szturomska
i Stanisław Hofman

*****

Kiedy kilka lat temu wymyśliliśmy akcję Łapmy stare Piaseczno, a wraz z nią zebranie i zapisanie wspomnień najstarszych obywateli naszego miasta, nawet nie przypuszczaliśmy jak bardzo trafiony był to pomysł. Powodzenie pierwszego zeszytu wspomnień przeszło nasze najśmielsze oczekiwania - nakład rozszedł się jak ciepłe bułeczki i potrzebne były dodruki. Oczywiste więc było, że to nie koniec, że chcemy więcej. I doczekaliśmy się: dziś przed nami kolejne nazwiska, miejsca, wspomnienia, anegdoty...

Ogromnie dziękujemy ludziom, którzy zechcieli się z nami podzielić swoim życiem i swoją pamięcią. Dziękujemy pani Małgosi Kawce-Piotrowskiej, która skrzętnie tę pamięć zarejestrowała. Dzięki Wam kolejne kadry życia Piaseczna zostały zatrzymane na zawsze!

A teraz fotel, ciepła herbata, włączamy wsteczny bieg i ruszamy na wycieczkę do przeszłości...

Magdalena Woźniak

Komisja Promocji Rady Miejskiej w Piasecznie

Halina Bójska_Layout 1 2016-12-28 08:40 Strona 7

Wspomina Halina Bójska

Od Młynarskiej po Nadarzyńską

Moja rodzina pochodzi z Warszawy, w Piasecznie zamieszkaliśmy po wojnie. Po upadku Powstania Warszawskiego, jak tysiące innych mieszkańców stolicy, znaleźliśmy się z rodzicami w obozie w Pruszkowie. Któregoś dnia Niemcy zapędzili mnóstwo ludzi do pociągu na wywózkę na roboty do Niemiec. W Milanówku, maszynista, który był Polakiem, celowo zwolnił i przedłużał przejazd przez miasto, by dać ludziom szansę na ucieczkę z pociągu. Dużo osób wtedy z okazji skorzystało – my też. Tatuś wyskoczył przez okno, potem mama podała mu mnie i sama wyskoczyła. Jeszcze zdążyła wyrzucić naszą walizkę, żebyśmy nie zostali bez niczego. Jakiś czas błąkaliśmy się po Polsce w poszukiwaniu mieszkania, aż mamy koleżanka z Piaseczna zaprosiła nas do siebie. I tak zamieszkaliśmy w domu Marii i Stefana Żaków przy ulicy Młynarskiej.

Ulica była nieduża, dookoła pomalowanego na zielony kolor domu rósł ogród, w nim wspaniały agrest i porzeczki, strych był pełen skarbów, jak na przykład kufry pełne kapeluszy cioci Marii. Niedaleko były tory ciuchci linii wilanowskiej, gdy jechał pociąg biegłam do końca ogrodu i machałam pasażerom, zawsze ktoś odmachał i już była radość. Latem w ogrodzie stała balia z wodą, czyli basen małej Halusi, w niedzielę obiady i kolacje jadało się na tarasie zarośniętym dzikim winem i bzem. Dla mnie to była sielanka.

Jak wszystkie piaseczyńskie dzieci poszłam do szkoły przy ulicy Świętojańskiej. Z początku odprowadzała mnie mama, potem szłyśmy z koleżanką, z którą siedziałam w ławce. Bardzo bałam się przechodzić obok zakładu na rogu Kościuszki i Żabiej, w którym robiono trumny, dzisiaj w tym miejscu stoi budynek Banku Spółdzielczego. Mijając ten zakład zawsze odwracałam głowę, żeby nie patrzeć na wieko trumny wystawione jako reklama na ulicę.

Z czasem przeszedł mi strach przed trumną, przed śmiercią. Byłam chyba w piątej klasie, gdy w Piasecznie miała miejsce głośna tragedia. Wydarzyła się w domu stojącym naprzeciwko cmentarza, dziś na parterze tego budynku znajduje się sklep z odzieżą. Młodzi ludzie wzięli ślub na Boże Narodzenie, ten pan był wojskowym, służył w jednostce w Górze Kalwarii i poszli tam na bal sylwestrowy. Gdy wrócili do domu, zastrzelił żonę i siebie. Przed pogrzebem, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, trumny były wystawione w mieszkaniu, on był w mundurze, ona w sukni ślubnej. Tłumy ludzi przychodziły ich obejrzeć i ja też poszłam.

W tym czasie mieszkaliśmy już na Świętojańskiej 13, w starym budynku z trzema dużymi werandami na parterze i trzema balkonami na piętrze. Mieszkało tam sześć rodzin, każda w jednym pokoju, szczęśliwcy mieli pokój z werandą, a jedna rodzina miała wyjątkowo pokój i kuchnię. Jedno z pomieszczeń zajmowały trzy siostry, które robiły kwiaty z krepiny i sprzedawały je na targu. Na miejscu tego budynku pobudowano inny, z dawnych czasów zostały tylko piękne kasztany.



Piaseczno, rok 1947, ulica Kniaziewicza, od lewej w strojach krakowianek stoją: Halinka Kubiak (obecnie Bójska), Ola Świetlik, Basia Dyszer, Basia Wrzesińska, w rzędzie stoją: nn, nn.
Fot. archiwum Haliny Bójskiej

Cała Świętojańska wygląda teraz inaczej niż dawniej. Na samym początku ulicy, po prawej stronie jest duży biurowiec. Kiedyś stał tam otoczony świerkami piękny, murowany budynek, stylowy z kolumnami podtrzymującymi balkon i prowadzącymi do domu szerokimi schodami. Mieszkała w nim Basia Gazdo, moja szkolna przyjaciółka, jej ojciec był chyba jedynym elektrykiem z uprawnieniami w mieście.

Przy ulicy było kilka drewnianych domów, z których ocalały te stojące przy szkole. Sama szkoła była inna, ubikacja z dwiema kabinami na podwórku, czarne, pełne drzazg podłogi w klasach i na korytarzach. Dzisiaj to wszytko żyje w pamięci dawnych uczniów tak samo, jak wspomnienia o naszych nauczycielach. Pani Wagnerowa, nauczycielskie małżeństwa państwa Reszczyków i państwa Fajtów[1], pan Kratke uczący śpiewu. Grał nam na skrzypcach i każda lekcja zaczynała się tak samo. Pan Kratke kładł skrzypce na stoliku, obok stawiał słoiczek z kalafonią, smarował smyczek, kilka razy przeciągał nim po strunach i zarządzał *Śpiewamy*. Dawał ton i niezmiennie śpiewaliśmy wojenną, rosyjską piosenkę *Ech, ta droga*.

Języka rosyjskiego uczył nas pan Mitkiewicz, nieduży, łysy. Nie wiedzieć czemu, chłopcy przezwali go *Pietuch* (ros. kogut), a jego bardzo denerwowało to przezwisko. Mój tatuś znał rosyjski i pomagał mi w nauce, ale nie każdy miał tak dobrze. Gdy pan Mitkiewicz zapowiadał sprawdzanie naszych wiadomości na klasę blady strach padał. Ale był sposób, który pozwalał uniknąć dwójek. Na rogu Kościuszki, gdzie teraz jest kiosk Ruchu, była okrągła drewniana budka, w której można było kupić cukierki. Wśród nich były groszki owocowe. Kupowaliśmy te groszki, częstowaliśmy nimi pana Mitkiewicza i nie było sprawdzania wiedzy.

[1]Potocznie w Piasecznie mówiono i pisano Fajt. Właściwa pisownia to Veidt. Państwo Jadwiga i Romuald Veidt byli znanymi w Piasecznie nauczycielami, którzy wychowali wiele pokoleń uczniów. (dop. red.)

Pamiętam, jak w latach pięćdziesiątych jeździliśmy ze szkoły zbierać stonkę na polach ziemniaczanych należących do Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Mysiadle. PGR powstał pod koniec lat czterdziestych z upaństwowionych zaraz po wojnie gospodarstw kolonistów niemieckich osiedlonych w Mysiadle bodajże w XIX wieku. Chyba dyrekcja PGR-u miała jakąś umowę z kierownictwem szkoły na Świętojańskiej, bo po pod koniec czerwca, w porze kwitnienia ziemniaków uczniowie ratowali je od stonki. Pod szkołę zajeżdżał traktor z przyczepą, na której stały proste, z desek zbite ławki, ładowaliśmy się na te ławki i jechaliśmy do Mysiadła. Tam każdy dostawał metalową puszkę do ręki i szliśmy w pole. W południe była przerwa, myło się ręce, jadło obiad, potem znów na pole i około godziny 15.00 wracaliśmy traktorem do szkoły. Dzisiaj dla dzieci to żadna atrakcja, ale dla nas była radocha. Nie mieliśmy lekcji i jeszcze dostawaliśmy dobry obiad, a bieda wtedy była wielka.

Wakacje między pierwszą a drugą klasą kojarzą mi się z koloniami. Nie pamiętam, czy to były kolonie szkolne, czy od taty z pracy, w każdym razie duża grupa dzieci w różnym wieku pojechała nad morze do Mielna. Mieszkaliśmy w budynku dawnego pensjonatu, była ładna stołówka, duża kuchnia, w pokojach spało po pięć - sześć osób. Na śniadanie była przypalona kasza manna na wodnistym mleku, na obiad zupa z brukwi bez ziemniaków, na podwieczorek śledź z beczki. I tak codziennie. Kierownik kolonii za karę bił chłopców czymś w rodzaju szpicruty. Chodziliśmy nad morze, a w drodze powrotnej opiekunki wprowadzały nas do opuszczonych domów, kazały wytrząsać pierze z poduszek, wkładać do pustych poszewek talerze, sztućce i co tam znalazły cennego oraz nieść do pensjonatu.

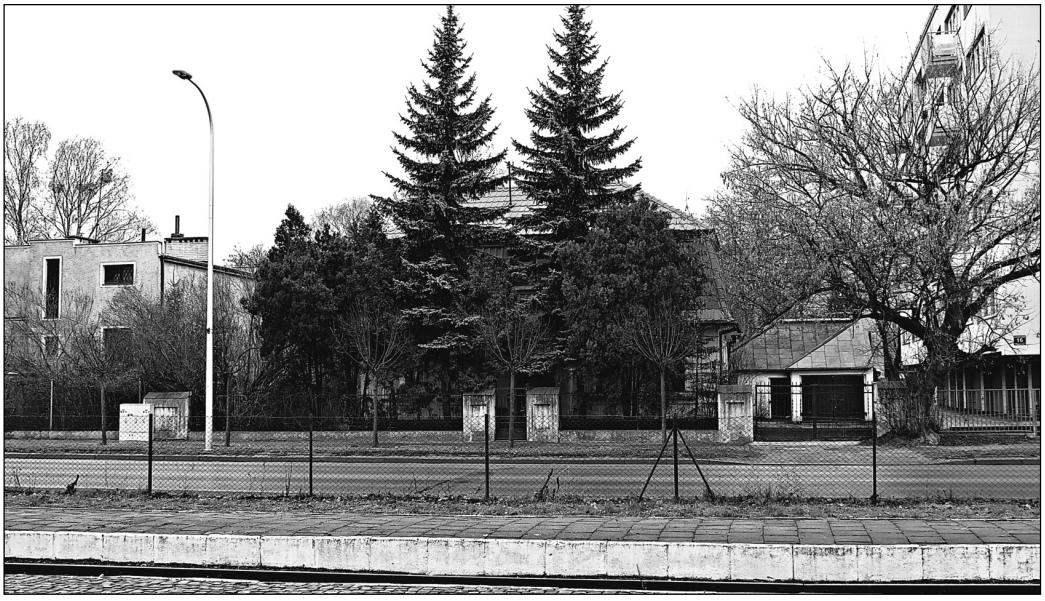
Każdy pisał do domu, że jest źle, ale korespondencja przechodziła przez ręce pana kierownika i ten, w naszym imieniu, wysyłał kartki z informacjami, że wszystko jest świetnie. Po tygodniu takiego życia rozchorowałam się i trafiłam do pokoju szumnie zwanego salą chorobową, gdzie już leżało pięć chorych dziewczynek. Pokój był na poddaszu, duszny, nieduży, do załatwiania potrzeb fizjologicznych miałyśmy stojące w kącie wiadro.

Był na tych koloniach syn komendanta milicji z Piaseczna, starszy chłopak. Z kolegą uciekli w nocy, jakoś dostali się do Koszalina, stamtąd pociągiem do Warszawy, a potem Piaseczna. Jego ojciec wkroczył do akcji, poinformował o warunkach na kolonii rodziców oraz odpowiednie władze. Kilku odpowiednich panów przyjechało po kierownika a wielu rodziców zabrało swoje dzieci. Po mnie przyjechał tatuś i wróciłam do domu, ale moja koleżanka, Basia, została i opowiadała, że gdy otworzyli magazyny z żywnością to wszystkiego było w bród.

Dużo milej niż tego kierownika wspominam piaseczyńską panią doktor Aleksandrę Gołąbek z domu Skorko, stomatologa. Wysoka, zgrabna, z porcelanową cerą, czarne włosy zbierała w kok zwany *ślimaczkiem*. Była przemiłą osobą, spokojną, uśmiechniętą. Chodziłam do niej jako małolata zęby leczyć i nigdy się nie bałam. Wizyty kojarzą mi się z zapachem pomarańczy, bo po umyciu rąk pani doktor przecierała je skórką pomarańczową. Pani Skorko mieszkała przy ulicy Wojska Polskiego, zmarła w 2015 roku w wieku 89 lat. Dom stoi do dzisiaj.

Lekarzem, którego także bardzo ciepło wspominam, dla którego mam wiele szacunku i wdzięczności jest doktor Stefan Żegliński, chirurg. To jedna z wielu wybitnych piaseczyńskich postaci. Wysoki, bardzo przystojny, pogodny, uczciwy, świetny lekarz, w czasie wojny należał do Armii Krajowej, brał udział w Powstaniu Warszawskim, po wojnie został ordynatorem szpitala w Piasecznie. Jego prawą ręką była pielęgniarka Alicja Szube, bardzo sympatyczna, świetna

w swoim fachu, trochę, jak to się mówi, przy kości, miała krótkie, czarne włosy, na których nosiła porządnie przypięty pielęgniarski czepek. Doktor Żegliński uratował życie mojemu tatusiowi, ale to były późniejsze lata, gdy byłam już mężatką.



Dom doktora Aleksandra Skorko przy ulicy Wojska Polskiego.
Fot. Małgorzata Szturomska

Z moim mężem, Kazimierzem Bójskim, poznaliśmy się na spotkaniu u wspólnych znajomych. Wysoki, przystojny, zadbany i kulturalny, z poczuciem humoru, z ciepłym i szczerym uśmiechem zrobił na mnie od razu duże wrażenie. Wtedy jeszcze nie widziałam, że ten pogodny mężczyzna ma za sobą dramatyczną młodość. Jego ojciec zmarł dość wcześnie zostawiając żonę z dwójką kilkunastoletnich dzieci. Kaziulek dorastając czuł się odpowiedzialny za matkę i za siostrę. Nie żyło im się lekko, ale jakoś dawali radę, nawet w czasie wojny. Do tragedii doszło w 1944 roku. Matka pracowała wtedy w mleczarni, miała specjalną przepustkę pozwalającą na poruszanie się po mieście w czasie godziny policyjnej. Szła rankiem ulicą Orężną do pracy, mijała posesję pana Grzywaczewskiego, gdy zatrzymał ją niemiecki patrol. Całą sytuację widział pan Grzywaczewski, który wczesnym rankiem wyszedł popracować w ogródku i gdy zobaczył nadchodzących Niemców schował się w krzewach. Opowiedział, że pani Bójska była spokojna, pokazała przepustkę, tłumaczyła, że idzie do pracy, że w domu ma małe dzieci, ale Niemcy nie słuchali. Zabili ją serią z karabinu, a ciało zostawili na ulicy. Kaziulek, z pomocą jakiegoś kolegi, na prześcieradle przyciągnął zwłoki matki do domu. Mój mąż miał wtedy czternaście lat, jego mama – trzydzieści sześć.

Przy Alei Kalin stoi obelisk ku czci rozstrzelanych wówczas jedenastu mieszkańców Orężnej, imię i nazwisko teściowej, której nie dane mi było poznać, jest też na nim wyryte. Co prawda, z błędem ortograficznym, bo przez *u*, ale chyba tak już zostanie.

Starsza siostra męża ułożyła sobie życie w Warszawie a Kaziulka wzięło w opiekę wujostwo Bronisław i Julia Kotowie. Mieli oni piekarnię przy ulicy Puławskiej, tam gdzie dzisiaj jest restauracja Czwórka.

Ślub braliśmy w tutejszym kościele świętej Anny. Mąż przyjechał po mnie wypożyczonym samochodem, przywiózł wiązankę, po ceremonii pojechaliśmy do jedynego wtedy w mieście fotografa, pana Renau, goście w tym czasie piechotą poszli do mojego rodzinnego domu. Meble z dwóch pokoi były wyniesione na werandę, w jednym pokoju ustawiono w podkowę stoły, w drugim były tańce. W piwnicy, która służyła za lodówkę, stały przygotowane przez nas w domu ryby w galarecie, nóżki wieprzowe, flaki, wędlina. O torty i ciasta zadbał pan młody, który z zawodu był cukiernikiem. Przed wejściem do domu zespół wojskowy z Góry Kalwarii powitał nas marszem weselnym i zabawa była do białego rana.



Piaseczno, koniec lat osiemdziesiątych XX w., Kazimierz Bójski, mąż Haliny w piekarni przy ulicy Dworcowej
Fot. archiwum Haliny Bójskiej

Mąż nie żyje, dawno odeszli moi rodzice, zabrała ich epidemia grypy panująca w Piasecznie w 1971 roku, zmarła córka, syn założył rodzinę, dorastają wnuki.

Dzisiaj mieszkam przy ulicy Nadarzyńskiej na osiedlu o wdzięcznej nazwie *Nad Perełką*. Ładnie tu jest czysto, spokojnie, tylko że po Perełce wspomnienie jedynie zostało. Piękna, czysta rzeka jest dziś zamulonym kanałem. Zmienił się też krajobraz. Patrzę przez okno w stronę Iwicznej i widzę bloki, a dawniej były tam sady z dorodnymi jabłoniami, wiśniami, czereśniami, były pola, które ciągnęły się aż do Mysiadła.

Halina Bójska_Layout 1 2016-12-28 08:40 Strona 12



Halina Bójska

z domu Kubiak

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 13

Wspomina Adam Gerstmann

Ćwierć wieku z wąskotorówką

Kiedy w 1964 roku dostałem przeniesienie z Warszawy na stację wąskotorówki w Piasecznie do ostatniej chwili robiłem wszystko, aby zmiany miejsca pracy uniknąć. Zawsze chciałem pracować na kolei, ale na normalnotorowej. Niemalże w przeddzień rozpoczęcia pracy tłumaczyłem swemu przyszłemu szefowi, że nie nadaję się do roboty na wąskotorówce, bo nie znam taboru. Naczelnik Bolesław Zajkowski spojrzał na mnie spod oka i powiedział, że nie widzi w tym problemu, *Ile czasu panu trzeba na zapoznanie się z taborem? Trzy miesiące jazdy na parowozie wystarczą?* Nie było już wyjścia. Zostało mi przyjąć pracę i liczyć na jak najszybszy powrót do Warszawy.



Piaseczno, lata siedemdziesiąte XXw., uroczystość związana z przejściem Aleksandra Waszkiewicza na emeryturę
od lewej: Aleksander Jankowski, Aleksander Waszkiewicz, Jerzy Markowski, Adam Gerstmann
Fot. archiwum Adama Gerstmanna

Każdemu, kto chciałby zobaczyć, jak w tamtych latach wyglądała piaseczyńska stacja kolejki wąskotorowej polecam film fabularyzowany poświęcony kolejce grójeckiej *Pan Ciuchcia* w reżyserii Roberta Stando. Jest tam scena kręcona na naszej stacji. Pojawia się w niej palacz Podladowski, maszynista Dąbrowski, dyżurny ruchu Tokarski, a gdy pociąg wyjeżdża ze stacji przez chwilę moją sylwetkę też widać na ekranie. Skład mija stację Pyry i ma przymusowy postój, bo na tory wchodzi stado wiejskich gęsi. Z parowozu wyskakuje pomocnik maszynisty Antoni Danenman i wiklinową miotłą przepędza ptactwo z drogi. Co prawda, na stacji pociąg stał kominem w stronę Góry Kalwarii a pojechał w kierunku Dworca Południowego Warszawy, ale tę niezgodność zauważy tylko ten, kto bardzo dobrze zna topografię stacji. Kilkuminutowej scenie towarzyszy piosenka Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego. *Pan Ciuchcia* to nie jedyny film, w którym zagrała piaseczyńska wąskotorówka. Kilka lat wcześniej Jan Rybkowski nakręcił *Inspekcję pana Anatola*, w którym stacja na potrzeby filmu zmieniła nazwę z Piaseczna na Paryżew. Scena, w której tytułowy bohater grany przez Tadeusza Fijewskiego przy-

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 14

jeżdża pociągiem i wchodzi do budynku stacji kręcona była prawie cały dzień, a w filmie to zaledwie jedno ujęcie. Piaseczyńska stacja pojawia się też w filmie *Chłopcy* zrealizowanym w 1973 roku przez Ryszarda Bera według sztuki Grochowiaka, tutaj rozgrywa się krótka scena w jednym z odcinków serialu *Białe tango* Janusza Kidawy z 1981 roku. Wacław Kowalski, grający sympatycznego emerytowanego kolejarza, wychyla się ze stojącego na stacji pociągu i pyta przechodzącego konduktora *Panie, kiedy pojedziemy?*



Piaseczno, połowa lat siedemdziesiątych XXw., uroczystość z okazji przejścia Wacława Dąbrowskiego na emeryturę, z lewej: Adam Gerstmann
Fot. archiwum Adama Gerstmanna

Można by jeszcze wiele tytułów wymieniać, widać nasza wąskotorówka budziła zainteresowanie wśród filmowców. Chyba decydował o tym klimat stacji, bo trudno powiedzieć, aby piętrowy, murowany budynek stacyjny wyróżniał się czymś wyjątkowym.

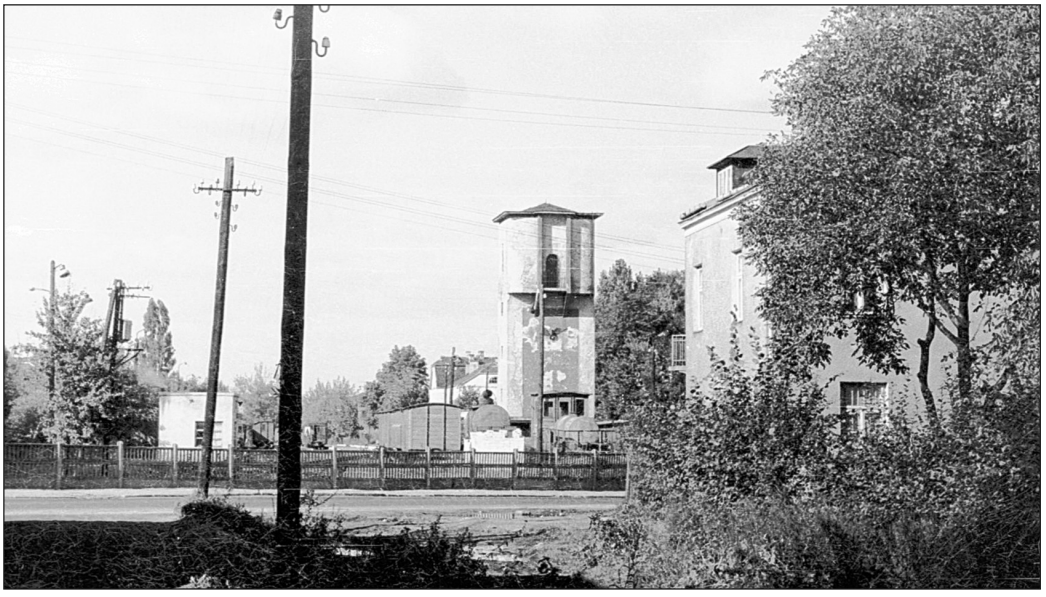
Zbudowano go w 1914 roku, przez lata jego pomieszczenia wielokroć zmieniały swoje przeznaczenie. Za moich czasów na parterze był pokój dyżurnego ruchu pełniącego służbę całodobowo. Na dole była też *brechałka*, czyli pomieszczenie dla oczekujących na swój kurs drużyn konduktorskich. Skąd wywodzi się ta nazwa, nie wiem, kolejarze w całym kraju tak mówili, ale były też nazwy typowe dla jednego terenu. U nas na przykład na pomost mówiono *płaszczadka*, na wagon doczepiany do pociągów towarowych, w którym jechała drużyna konduktorska - *ciepłuszka*.

Nad *brechałką*, na piętrze była noclegownia dla pracowników, którzy zjeżdżali z trasy po północy, a o czwartej, czy piątej już wyjeżdżali. To były trzy pokoje z łóżkami, łazienka z długą umywalką i rzędem kranów, prysznice i toaleta oraz kantorek, w którym siedziała pani *Budzik*. Tak mówiono na panią, która zajmowała się noclegownią, dbała o porządek, zmieniała pościel i do niej należało obudzenie załogi o odpowiedniej porze.

Na terenie stacji stały dwa kioski, w których można było kupić gazety, papierosy, świeże bułeczki, piwo butelkowe. Jeden z kiosków prowadziły dwie starsze panie. Przy ładnej pogodzie pasażerowie mogli posiedzieć na niedużym skwerku, był tam klomb, ławki i gablota z ogłoszeniami kolejowymi.

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 15

Ze stacyjnych zabudowań na pewno wyróżniała się wieża ciśnień, która górowała nad okolicznymi dachami. Wysoka, murowana, z kolejowym emblematem umieszczonym na dużym zbiorniku wody. Wieża przedwojenna wyglądała inaczej – była częściowo drewniana, miała charakterystyczny kształt grzybka z kopulastym zbiornikiem jak kapeluszem. Została zniszczona przez Niemców w roku 1944, gdy wycofywali się z Piaseczna. Nową wybudowano kilka lat później, w tym samym czasie powstał stojący obok wieży rotundowy, niski budynek, w którym była przepompownia ze studnią głębinową. Woda z tej studni przewyższała ponoć smakiem wodę miejską. Z czasem na stacji zastosowano hydrofory i wieża przestała być potrzebna. W warszawskim Zarządzie Kolei Dojazdowych były plany, aby ją wyburzyć, a pozyskane miejsce wykorzystać na budowę toru ułatwiającego wjazd do lokomotywowni. Dość długo udawało mi się powstrzymać realizację tego planu, aż pewnego roku wróciłem z urlopu i wieży już nie było. Rozebrano ją w ciągu dwóch dni, pamiątką po niej jest zachowany do dziś budyneczek przepompowni. Tor nigdy nie powstał.

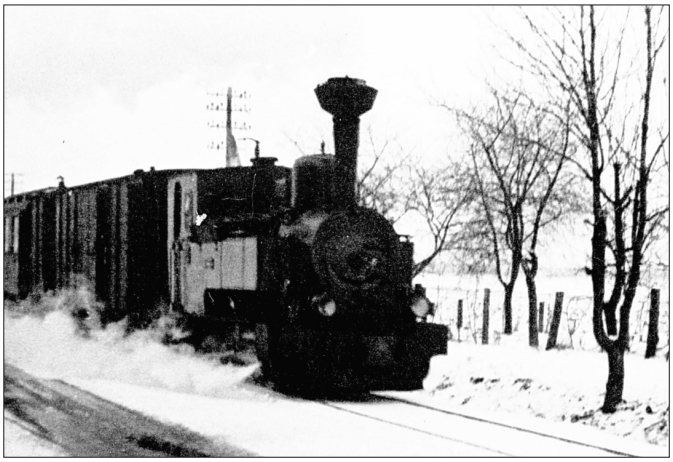


Widok na stację kolejki grójeckiej w Piasecznie, lata 70. XX wieku
Fot. Jacek Mrówczyński

Stacja była jedną z bardziej ruchliwych w kraju. Z Piaseczna pociągi rozjeżdżały się do Góry Kalwarii, do Nowego Miasta, do Warszawy przez Iwiczną lub przez Wilanów. Na stanie było siedem wagonów motorowych obsługujących linię wilanowską, czternaście parowozów, czterdzieści osiem wagonów osobowych i ponad sześćset towarowych. Łączna długość linii kolejki wynosiła sto dwadzieścia cztery kilometry, po których w ciągu doby kursowało kilkadziesiąt pociągów osobowych oraz od sześciu do ośmiu par pociągów towarowych.

Rozkład jazdy był tak ułożony, że na stację trzy pociągi jeden po drugim wjeżdżały: z Warszawy do Nowego Miasta, z Nowego Miasta do Warszawy i z Góry Kalwarii do Piaseczna. Ludzie z Góry od razu przesiadali się do pociągu jadącego do Warszawy, a kto parę minut później

wracał z pracy miał kurs do Góry Kalwarii. Gdy przesiadano się z jednego pociągu do drugiego cały peron zalany był tłumem ludzi. A jesienią pociągi z Nowego Miasta pachniały jabłkami, bo w każdym wagonie sadownicy skrzynki pełne owoców wieźli, na Dworcu Południowym na świeży towar czekali handlarze.



Ciuchcia w Stefanowie, lata 60. XX wieku
Fot. archiwum Stanisława Hofmana

Bardzo szybko odkryłem, że wąskotorówka ma swój nieodparty urok, z racji odrębności spowodowanej prześwitem torów jest w kolejnictwie światem rządzącym się własnymi prawami. Odkryłem też, że większość ludzi pracujących na grójeckiej wąskotorówce jest oddanych służbie, że są przyjaźni, mają poczucie humoru oraz - co niezwykle ważne - honoru.

Bardzo ciepło wspominam maszynistę Aleksandra Waszkiewicza. Praktykowałem u niego i bardzo go lubiłem, bo oprócz tego, że był mądrym, uczciwym człowiekiem to przypominał mi mojego dziadka. Gdy w latach siedemdziesiątych dostaliśmy rumuńskie lokomotywy pan Waszkiewicz został jako jeden z pierwszych wysłany na przeszkolenie na Śląsk i przekazywał nam swoją wiedzę.

Kolejną perłą wśród maszynistów był Augustyn Piekarz. Różnica między nim a Waszkiewiczem polegała na tym, że ten drugi bardzo wymagał od swoich pomocników, trzymał dyscyplinę, zaś Piekarz dla świętego spokoju często sam wykonywał prace należące do pomocnika. Młodszych maszynistów szkolił Mieczysław Andrzejczak, instruktor drużyn lokomotywowych, z czasem mój zastępca.



Ciuchcia w Stefanowie, lata 60. XX wieku.
Fot. archiwum Stanisława Hofmana

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 17

Jerzy Zając - przed wojną był pomocnikiem maszynisty, a po wojnie pracował jako maszynista, z czasem dyspozytorem został. Nie miał dwóch palców u ręki i - jak Zagłoba o swoim oku - tak on o swoich palcach opowiadał: a to mu Niemcy zrobili, a to jakaś maszyna ucięła. Nikt tego specjalnie nie dochodził. Mieszkałem w Warszawie i było tradycją, że w pierwszy dzień Bożego Narodzenia nie ma mnie dla nikogo, chyba że coś naprawdę wyjątkowego na stacji się wydarzy. W końcu w Wigilię są moje imieniny. Zawsze tego pierwszego dnia świąt Zając miał służbę, bo wiedziałem, że sobie ze wszystkim poradzi. Wróciliśmy z rodziną z Pasterki, już w łóżkach jesteśmy, a tu telefon. Pierwsza myśl, że coś się stało na kolejce. Odbieram i słyszę *Tu dyspozytor Zając. Melduję, panie naczelniku, że wszystko w porządku, może pan świętować*.

Z Zalesia przyjeżdżał do pracy maszynista Roman Kobiałka. Przez pewien czas był sekretarzem partii w komórce trakcyjnej, cała kolejka znała jego powiedzenie *Bójcie się Boga, towarzysze*. Dyspozytor Mieczysław Zieliński, wierzący, praktykujący, brał udział w pielgrzymkach. Miał swój rytuał rozpoczynania pracy - przychodził, rozkładał książki sytuacyjne, sprawdzał zapisy, a potem mówił: *W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Mogę przyjąć służbę.*

Najstarszym stażem pracownikiem był maszynista Stefan Babkiewicz, mówiło się, że zaczynał jako dzieciak od sprzedaży bułek na stacji. Był niski, krępy i miał przezwisko *Trela*, od boksera Jerzego Treli. Jeździł na wagonach motorowych, spalinowych i na parowozach. U niego każdy parowóz był czysty, o czym przekonałem się na własnym ubraniu. Wracałem latem pociągiem z kontroli w Grójcu, wyjątkowo miałem na sobie jasne, cywilne ubranie zamiast munduru, już miałem wsiadać do wagonu, gdy *Trela* mnie zobaczył i zaprosił do parowozu. *Nie, dziękuję, pobrudzę się* - mówię, zdając sobie sprawę, że utrzymanie czystości w czasach lokomotyw parowych nie było łatwe. Brudziły się maszyny, brudzili się ludzie, szczególnie narażona na taką przyjemność była służba mechaniczna, na kolei mówiono o nich *smoluchy*, z tej grupy najbardziej umorusani byli pracownicy naprawiający i utrzymujący parowozy, a szczególnie brygada *kotłomyi*. Ubrania przesiąknięte smarem, twarz i ręce w oleju i sadzy. Domywanie się zabierało dużo czasu i nie zawsze było skuteczne.

A Babkiewicz zapewnia mnie, że się nie pobrudzę, a jeśli tak się stanie on zapłaci za pranie ubrania i jeszcze obiad w restauracji postawi. Wsiadłem. W parowozie czyściusieńko, krany, manometry, dźwignie, poręcze, uchwyty wyczyszczone i błyszczące, podłoga zamieciona, skropiona wodą tak samo jak węgiel. Prowadziłem do Dworca Południowego i rzeczywiście się nie pobrudziłem.

Nie każdy parowóz był tak zadbany. Bywało i tak, że nie można było dotknąć ręką poręczy lub klamki drzwi, bo zostawała na dłoni gruba warstwa smaru, a zwracane uwagi nie przynosiły efektu. Na szczęście, to były sporadyczne wypadki.

W Piasecznie nie było rodziny, z której ktoś nie był związany z koleją wąskotorową, przez wiele lat to był największy zakład pracy nie tylko w mieście, ale i okolicach. Często praca na kolejce była rodzinną tradycją.

Pan Jóźwiak był kierownikiem pociągu, dwóch jego synowców: Zbigniew - maszynistą i Kazio - pomocnikiem. Kazio był mistrzem palenia w parowozach. To była sztuka, szczególnie przy ciężkim pociągu towarowym, tak palić, żeby pary było wystarczająco, aby dobrze pociąg prowadzić. Kolejnym klanem była rodzina Łuczaków z Góry Kalwarii. Pracował ojciec, jego

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 18

dwie zamężne córki: pani Ogrodzińska jako dyżurna ruchu a następnie jako zawiadowca stacji, pani Renata Nyc była laborantką, potem pracowała w biurze, jej mąż był kolejarzem. Na kolei pracował też wnuk pana Łuczaka.

Liczna była rodzina Kowalskich z Piaseczna. Był Kowalski Władysław, Antoni, Tadeusz, Czesław, jedna z pracownic była z domu Kowalska. Władysław był szefem wśród maszynistów, miał pseudonim *Inżynier*, bo rzeczywiście na lokomotywach znał się jak mało kto. Trudno było dla nich grafik ułożyć, gdy któryś miał imieniny, to wszyscy musieli mieć wolne. Ale to byli uczciwi, oddani pracy ludzie.

Prykieli też było kilku, jeden z nich był toromistrzem. Toromistrz nadzorował służby pracujące na torach. Linia kolejowa podzielona jest na odcinki, odcinki na działki o długości od dziesięciu do kilkunastu kilometrów, każdy toromistrz odpowiadał za stan podległej mu działki. Była rodzina Kiełbowskich, Olkowiczów, w służbie ruchu pracował Pindelski. Było wielu innych wspaniałych ludzi i przykro mi, że nie wszystkich pamiętam z nazwiska.

Byli tacy, co za kołnierz nie wylewali, byli tacy, co jeszcze nie podszedłem do parowozu a już się umorusałem, kradzieże się zdarzały, szczególnie paliwa i węgla, ale w czasie mojej pracy więcej było ludzi uczciwych, oddanych służbie, odpowiedzialnych. Przykładem takiej postawy było zachowanie pracowników zimą na przełomie lat 1978 – 1979. Są święta Bożego Narodzenia a kolej stanęła, bo śniegiem zasypało. Mimo że to był ten pierwszy dzień świąt pojechałem do Piaseczna i spotkałem na stacji pracowników, którzy nie mieli tego dnia służby. Na stacji była już pani Renia Nyc i mówi: *Taka sytuacja, może się przydam*. Z Góry Kalwarii przyjechał majster Aleksander Jankowski. *Nie mogłem przy stole spokojnie siedzieć* - powiada. Jakiś tydzień później przed Runowem powstała zaspa wysoka ponad metr i długa na trzy kilometry. Odśnieżanie zajęło nam trzy doby, ale nikt nie migał się od pracy. Inna sytuacja – koniec roku 1970, *Sylwester*, ludzie szykują się do domu i na bal, a tu popsuły się dwa wagony. Wyznaczyłem kilka osób do pracy i nikt nie protestował. Koło godziny dwudziestej żony w sukniach balowych przychodziły sprawdzić, co się z ich mężami dzieje i niejeden usłyszał: *A ożeń się z tą kolejką!*

W połowie lat sześćdziesiątych na kolei pracowało około tysiąca czterystu osób, w samej lokomotywowni siedmiuset pracowników było. Przez lata rytm pracy na kolejce wyznaczał *bucek*, czyli syrena. Pierwszy *bucek* rozlegał się dziesięć minut przed siódmą, kolejny na rozpoczęcie pracy o siódmej, na przerwę śniadaniową o dziewiątej i piętnaście minut później na jej zakończenie, dziesięć minut przed piętnastą był sygnał, żeby uprzątnąć stanowisko pracy i o piętnastej, że czas do domu. Z czasem przestaliśmy syreny używać, ale musiała być czynna ze względu na obowiązkowe alarmy związane z terenową obroną przeciwlotniczą. Kiedyś nie dostaliśmy informacji o odwołaniu alarmu w mieście i tyko u nas wyła przez dobre pięć minut.

Sercem kolei była stacja przeładunkowa, tu odbywał się przeładunek z wagonów normalnotorowych do wąskotorowych. Stacja Piaseczno Przeładunkowa znajdowała się w Zalesiu, w miejscu, gdzie tory kolei normalnotorowej miały punkt styczny z torami wąskotorówki. W ciągu doby przeładowywano tam co najmniej sześćset ton towaru z kilkudziesięciu wagonów. To była ciężka, głównie ręczna praca. Odbywała się albo w poziomie, gdy wagony stały obok siebie, albo z rampy, gdy normalnotorowy stał wyżej. Małym ułatwieniem były szufle mechaniczne, ale możliwość ich użycia zależała od towaru. Przy węglu szufle sprawdzały się przy groszku, ale już nie przy kęsach i koksie, a węgiel to było 60 % towaru. Najgorsze do prze-

ładunku było wapno nawozowe luzem, gdy było wietrznie i gorąco, przeładunkowi mieli odparzoną skórę wokół okularów ochronnych.

Ludzi tam zawsze brakowało i nieraz zatrudnialiśmy pracowników doraźnych. Zgłaszali się pijaczkowie z Piaseczna i zawsze uczciwie pracowali, zamienili pieniądze na płyn, trzeźwieli i znów się pojawiali. W czasie wakacji zgłaszali się studenci. Kiedyś przyszło kilku chętnych do pracy, dobrze zbudowanych młodzieńców. Akurat trzeba było przerzucić z wagonu do wagonu pięćdziesiąt ton nawozu w workach. Chłopcy wzięli się do pracy, łapali worek w ręce i przenosili.

Przyglądał się im stary brygadzista, Wacław Kazimierczuk, szczupły, niewysoki, i mówi, że daje im nie więcej niż dwadzieścia minut pracy. A dlaczego? Bo to też trzeba umieć. *Worek biorę na ręce, opieram na klatce piersiowej i bardziej pcham niż trzymam, nie stawiam a rzucam* - tłumaczył pan Wacław technikę noszenia. I było jak przepowiedział, nawet po pieniądze nie przyszli.

W pracę kolejarza wpisane jest ryzyko, zdarzają się mniej lub bardziej poważne wypadki. W czasie mojej pracy również miały miejsce takie zdarzenia.

Między Mysiadłem a Dworcem Południowym obowiązywała prędkość 15 km na godzinę, bo pociąg jechał niemalże po chodniku. Nawet przy tej prędkości zdarzały się uszkodzenia samochodu, gdy ktoś zaparkował auto wjeżdżając w skrajnię torów.

W okolicach Lesznowoli wykoleił się pociąg z mąką wiezioną z młyna w Grójcu. Trzeba było przede wszystkim szlak udrożnić, ze dwa dni przy tym pracowaliśmy, a wagony w tym czasie leżały na ubielonym mąką poboczu. Szybko zostały z nich tylko metalowe szkielety, bo drewno rozebrali okoliczni mieszkańcy na opał. Dobrze, że wagony zostały skierowane do kasacji, to nie było afery.

Do wypadków dochodziło na przejazdach kolejowych. Za Gołkowem pociąg zderzył się z autobusem, zginął kierowca pojazdu. Były też wypadki wyjątkowo tragiczne. Jeden z nich miał miejsce na stacji w Zalesiu przed charakterystycznym, drewnianym domkiem w stylu góralskim. Wyszedłem z pracy do domu i widzę, że stoi pociąg, który kilka minut temu wyjechał ze stacji do Nowego Miasta. Trzeba sprawdzić, co się stało. Poszedłem wzdłuż składu i zobaczyłem, że coś obok koła leży, pomyślałem, że poduszka smarna wypadła, a to była ludzka głowa. Okazało się, że na ławce przed budyneczkiem siedziała starsza kobieta, gdy pociąg był już blisko, wstała i położyła się na torach. Maszynista nie miał żadnych szans, by zahamować.

Zdarzały się też sytuacje komiczne. Późno w nocy pojechał skład do Góry Kalwarii, maszynista z pomocnikiem mieli zostawić tam wagony a do Piaseczna wrócić parowozem. W Chojnowie była mijanka, więc zjechali, żeby przepuścić pociąg i zasnęli. Mieli prawo być zmęczeni, bo ludzie wtedy po trzysta godzin w miesiącu pracowali. Dyspozytor zaniepokojony ich nieobecnością, wziął parowóz i wyjechał w trasę sprawdzić, co się stało. Przez ten czas panowie obudzili się i ruszyli w drogę bez włączonego światła, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Jadący od strony Piaseczna dyspozytor zobaczył iskry lecące z parowozu i zaczął hamować, oni też, ale i tak się stuknęli. Idę rano do pracy i widzę, że dyspozytor stoi przed halą lokomotywowni, w której spawanie odchodzi. Pytam, co się stało a on, że powie mi przy okazji, teraz prosi, żebym do biura poszedł. Przyznał się, gdy już wszystko było zrobione, pospawane, pomalowane, nawet posypane piaskiem i zakurzone, żeby nie było śladu.

Główna hala lokomotywowni pierwotnie była dwa razy dłuższa niż obecnie, nawet widać miejsce, do którego dochodziła. Zimą roku 1978 pod ciężarem zamarzniętego śniegu zawalił

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 20

się dach. Na szczęście, do wypadku doszło nocą i nikt nie ucierpiał. Ze względu na to, że w tym czasie ruch pociągów znacznie się zmniejszał, hali w całości nie odbudowano zamykając ścianą ocalały fragment.

Zanim doszło do katastrofy hala wraz z przybudówkami służyła różnym celom.

W pierwszej przybudówce na piętrze przez długi czas była świetlica. Mogły tam przychodzić wszystkie dzieci, nie tylko pracowników kolei. Prowadziła ją pani Wojciechowska, której mąż pracował w lokomotywowni jako specjalista elektromonter. Wiele ciekawych zajęć organizowała, m. in. było kółko recytatorskie, chyba nawet chór przez jakiś czas działał, odbywały się konkursy wiedzy o kolei, były różne gry, stół do ping-ponga. Gdy pani Wojciechowska odeszła z pracy, jej działania przez krótki czas kontynuowała pani Teresa Klinowska z odcinka drogowego. Świetlica została zlikwidowana odgórną decyzją, a wyposażenie przekazane do świetlicy kolejowej w Pruszkowie.



Piaseczno, koniec lat siedemdziesiątych XX w., orkiestra Grójeckiej Kolejki Wąskotorowej, pierwszy z lewej siedzi Adam Gerstmann,
Fot. archiwum Adama Gerstmanna

W świetlicowym pomieszczeniu swoje próby miała orkiestra kolejowa. Gdy przyszedłem do pracy, orkiestra składająca się z około trzydziestu muzyków, także z osób nie związanych z koleją, już istniała. Kiedy powstała, nie wiem. Jerzy Zając mówił, że orkiestra działała już przed wojną. Za moich czasów bezpośredni nadzór nad nią miała rada zakładowa a finansowała parowozownia. Kapelmistrzem był pan Kałwa, jednocześnie kapelmistrz orkiestry kolejowej

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 21

warszawskiego okręgu, potem przyszedł nowy kapelmistrz, który z orkiestry zrobił zespół grający nawet operetkowe szlagiery. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych orkiestra prowadziła pochody pierwszomajowe, a potem grała przy trybunie honorowej. To były państwowe oficjalne występy, a nieoficjalnie orkiestra grała także podczas świąt kościelnych. Pamiętam, jak przed świętem Bożego Ciała orkiestra ćwiczyła kościelne pieśni a obok, w pomieszczeniu rady zakładowej, było zebranie partyjne, na które delegat z Warszawy przyjechał. W przerwie pyta mnie, skąd niewłaściwy ideologicznie pomysł na pieśni religijne. Tłumaczę, że zbliża się święto kościelne i orkiestra ćwiczy, bo będą brać w nim udział, ale jako osoby prywatne. Przyjął tłumaczenie, chociaż pewno nie uwierzył. A orkiestra w mundurach w procesji szła.

Grali też kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu. Kardynał miał rodzinę w Jazgarzewie, przyjechał z wizytą, oczywiście z tej okazji odbyła się uroczystość w parafii i podczas mszy grała orkiestra. Wracam z urlopu, a tu afera! Jak to możliwe, żeby kolejarze w kościele grali. Największe pretensje władza miała do gospodarza orkiestry z ramienia lokomotywowni, który krótko pełnił funkcję sekretarza partyjnego. Jako jego zwierzchnik zostałem wezwany na rozmowę do komitetu partyjnego, który mieścił się przy ulicy Chyliczkowskiej w obecnym budynku władz powiatowych. Zanim tam poszedłem odbyłem z delikwentem rozmowę. *Jakoś sobie poradzimy, tylko gadaj pan prawdę* - mówię do niego, a on zarzeka się, że nawet tam nie był. W komitecie kategorycznie stwierdzam, że ktoś oczernia mojego pracownika, a oni zdjęcia wyjmują, na których jest orkiestra w kościele i tenże pracownik stoi w pierwszym rzędzie. Na szczęście dla mnie, tego pana i całej orkiestry udało się uspokoić przedstawicieli partyjnych.

To były czasy, gdy należało uważać nie tylko na to, co się robi, ale i co się mówi. Zawsze przestrzegałem, żeby kolejarze jeździli w mundurze, w czapce, a miałem takiego maszynistę, który uparcie jeździł w brudnym, starym berecie i wyszmelcowanym mundurze, równie starym jak nakrycie głowy. Zwracałem mu kilka razy uwagę, a w końcu, zirytowany, powiedziałem, że wygląda jak ruski traktorzysta, niechże przyjdzie na służbę ubrany jak trzeba. Pośmiał się z tego ruskiego traktorzysty i na drugą służbę przyszedł w czystym mundurze i czapce. Ale ktoś usłyszał ten żarcik, dowiedzieli się o tym towarzysze i wezwali mnie na egzekutywę. Musiałem się gęsto tłumaczyć, że źle wyraziłem się o sowieckich ludziach.

W latach osiemdziesiątych wydano odgórne zarządzenie, że przy zakładzie pracy może funkcjonować tylko jedna orkiestra. Dla nas zakładem pracy był zarząd kolei dojazdowych w Warszawie, któremu podlegały stacje w całym województwie, druga orkiestra była w Mławie i mimo naszych starań tamta została.

Parter przybudówki zajmował posterunek milicji, z czasem przeprowadziliśmy ich do dobudówki w baraku, w połowie lat siedemdziesiątych milicjanci zostali przeniesieni na stację normalnotorową, dziś w pomieszczeniu dawnego komisariatu jest bar.

Stacji pilnowała też Służba Ochrony Kolei. Na końcu terenu lokomotywowni znajdowała się budka wartownicza, z której można było obserwować tor w kierunku Warszawy oraz mostek nad Perełką. W czasie okupacji siedział w niej bahnschutz (niemiecki wartownik) a po wojnie sokista.

W części środkowej hali były biura lokomotywowni i moje, w ostatniej warsztat elektryczny i zasadnicza szkoła zawodowa.

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 22

Szkoła powstała w latach siedemdziesiątych przy dworcu Warszawa - Wschodnia, tam odbywały się zajęcia teoretyczne i ogólne, natomiast praktyki uczniowie mieli w warsztatach, m. in. u nas. Pierwszym instruktorem w warsztatach był Antoni Prymnicki ze Skierniewic, były naczelnik lokomotywowni w Rogowie. Gdy przeszedł na emeryturę jego miejsce zajął pan Malas. Nowy instruktor w młodości służył w kompanii reprezentacyjnej i na zajęciach wprowadził wojskową dyscyplinę. Kiedyś zwalniał się u mnie z zajęć, powiedział, że chłopcom wyznaczył pracę, ale poprosił, żebym do nich zajrzał. Po jakimś czasie idę, cisza dziwna, już jestem przekonany, że na wagary poszli, otwieram drzwi, a w sali wszyscy są, pracują. Jeden z chłopaków krzyknął: *Przerwać robotę*! zameldował grupę, wszyscy na baczność stali. O dziwo, nikt się nie buntował.

Nasza lokomotywownia to były małe zakłady naprawcze, w których można było nauczyć się więcej niż w warsztatach warszawskich. Kiedyś przyjechał ojciec bardzo z tego niezadowolony, że syn został do nas skierowany i chciał chłopaka zabrać. Oprowadziłem go po lokomotywowni, zobaczył, czego chłopcy się uczą i syna zostawił. Nasi chłopcy zawsze wyróżniali się spośród uczniów warszawskiej szkoły. Zawsze ostrzyżeni, w mundurach, przy uroczystych okazjach w białych koszulach, krawatach, w nauce niezmiennie obsadzali pierwszych pięć miejsc. Może dlatego tak się działo, że oprócz dyscypliny mieli też dobry przykład.

Prowadzono współzawodnictwo między kolejami i tak się jakoś składało, że kolej grójecka była cały czas w czołówce. Kiedyś w ośrodku kolejowym w Jachrance było podsumowanie współzawodnictwa. W kategorii kolei wąskotorowych – miejsce pierwsze: Piaseczno, w kategorii lokomotywowni pierwszej klasy: Piaseczno, wśród stacji: Piaseczno Miasto, odcinek drogowy: Piaseczno. Z jednej strony pierwsze miejsce było zaszczytem, z drugiej wiązało się z koniecznością organizowania imprezy z okazji Święta Kolejarzy. Uroczyste akademie okręgowe organizowaliśmy w szkole przy Chyliczkowskiej albo w Domu Rzemiosła przy Kościuszki. Kolejarze z całego okręgu zjeżdżali.

Nadszedł czas Solidarności, do której zapisali się prawie wszyscy z piaseczyńskiej wąskotorówki i czas strajków, ale u nas była jedynie próba strajku. Jakiegoś dodatku na czas nie wypłacono, w stolarni zebrała się grupa pracowników oznajmiając, że nie będą pracować. Poszedłem do nich, a tam sami młodzi. *Słuchajcie, o wszystkim można porozmawiać, ale jesteśmy kolejarzami, nam nie wolno przerywać pracy a szczególnie wam, ludziom młodym. Patrzcie na starszych pracowników, ich portki są starsze od was! Proszę natychmiast do roboty* - powiedziałem i wyszedłem. Po kilku minutach już wszyscy pracowali.

A potem wprowadzono stan wojenny. W poniedziałek, 14 grudnia, jak zwykle rano jechałem do pracy, na stacji w Warszawie czekał na mnie pracownik, który poinformował mnie, że natychmiast, tak jak wszyscy naczelnicy, w pełnym umundurowaniu mam zgłosić się do dyrekcji. Tam dostaliśmy przepustki i wytyczne jak mamy się zachowywać, jak pracować pod nadzorem komisarzy wojskowych.

Tak się szczęśliwie składało, że naszej załogi nie dotknęły ogólnie panujące represje. Raz tylko przyszli trzej panowie w mundurach sugerując, aby wojskowe transporty miały pierwszeństwo w przeładunku i ekspedycji. Traktowanie wszystkich klientów kolei w jednakowy sposób mogło spowodować powołanie mnie do rezerwy. Nie żyło się łatwo, ale zgodnie z narodową tradycją humor nas nie opuszczał.

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 23

Zawiadowcą stacji był Antoś, zwany przez nas *Skrzypkiem*. Do jego obowiązków należało zadbanie o porządek na stacji, także w toaletach. Luksusowe to one nie były, miały tzw. system turecki, czyli kucany. Nie zawsze był w nich porządek, bo Antoś jakoś o tym miejscu zapominał. Pewnego razu, kiedy był u mnie kolega z dyrekcji, postanowiliśmy fortelem zmobilizować Antosia, który tego dnia miał służbę, do działania. W telefonicznej rozmowie z Antosiem, kolega przedstawił się jako pracownik biura naczelnika miasta i uprzedził o możliwej inspekcji wojskowych komisarzy i dodał znacząco: *Słyszałem, że sanitariaty na stacji nie są w najlepszym stanie.* Za chwilę Antoś dzwoni do mnie z informacją o nadciągającej kontroli, mało tego – w toaletach już odbywały się wielkie porządki. Traf chciał, że naprawdę pojawili się dwaj wojskowi, którzy przyszli do mnie w jakiejś sprawie i Antoś był przekonany o prawdziwości telefonu.

Po stanie wojennym były naciski, żeby zapisywać się do związków branżowych. Ze wszystkich jednostek oporne były dwie – nasza i obwód lecznictwa PKP nr 2 na Pradze. Przeprowadzono stosowną rozmowę i niestety trzeba było się zapisać.

Gdy w 1952 roku zamknięto linię prowadzącą z Piaseczna do Konstancina nikt chyba nie myślał, że to pierwszy krok do likwidacji grójeckiej wąskotorówki. W 1968 roku zamknięto linię z Dworca Południowego do Dąbrówki oraz rozebrano tory, rok później to samo stało się na liniach od Dąbrówki do Dworca Południowego i od Piaseczna Przemysłowego do Wilanowa, a po roku 1971 czynny był tylko odcinek między Piasecznem a Nowym Miastem.

Przez dziesiątki lat od powstania wąskotorówki tory biegły obok wąskich dróg, często nieutwardzonych, po których jeździły chłopskie furmanki, rzadko kiedy pojawiał się samochód. Z czasem wszystko się zmieniało – znikały furmanki, przybywało aut, pojawiły się autobusy, drogi zamieniały się w coraz szersze jezdnie. Kolejka miała coraz mniej do roboty, ubywało pasażerów, ubywało towarów.

Były próby ratowania wąskotorówek. Tabor kolejowy stanowiły przedwojenne parowozy i wagony motorowe. Podobno część taboru ocalała dzięki kolejarzom, który pod koniec wojny wyprowadzili je za Grójec niedaleko Małej Wsi i ukryli w głębokich wyrobiskach gliny, do których prowadziły tory, zakopali tam również metale kolorowe potrzebne do naprawy parowozów.

Dobrze, że mieliśmy parowozy i wagony, ale ze względu na swój wiek, były mocno wyeksploatowane. Drobne naprawy wykonywaliśmy na miejscu, ale główne odbywały się w Opolu. Aż strach było wysyłać tam wagony, bo często nic już nie dało się naprawić i wracały jako złom. W latach siedemdziesiątych zakupiono w Rumunii nowe lokomotywy spalinowe. U nas pierwsze trzy egzemplarze rumuńskich lokomotyw wprowadzono w 1970 roku. Początkowo serwis sprawowali rumuńscy fachowcy. Na stałe było ich dwóch, teoretycznie mieli obowiązek wynajmowania mieszkania, ale w praktyce cały czas siedzieli w biurze. Trochę mówili po niemiecku i bardzo niechętnie po rosyjsku, ale jakoś się dogadywaliśmy. Przy naprawach trzymaliśmy się ściśle instrukcji, dopóki nie zapoznaliśmy się z budową silnika, potem robiliśmy wszystko zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i naszą wiedzą.

Aby utrzymać ruch towarowy w połowie lat siedemdziesiątych wprowadzono transportery: specjalne wagony wąskotorowe do przewozu normalnotorowych. Należało wzmocnić tory, by wytrzymały większy ciężar, przebudować mosty, wiadukty, na stacji wybudowano specjalną rampę dla transporterów. Przy pierwszej próbnej jeździe okazało się, że wszystkiego nie przewidzieliśmy.

Adam Gertsmann_Layout 1 2016-12-28 08:58 Strona 24

Zaraz za wiaduktem, po prawej stronie, mieszkał generał Zygmunt Berling. Posiadłość otaczało solidne ogrodzenie z dużą metalową bramą, na każdym jej skrzydle umieszczono orła bez korony. Do posesji doprowadzona była linia telefoniczna i nasz skład, wyższy niż do tej pory, tę linię zerwał. Zatrzymaliśmy pociąg, ochroniarze generała wypadli z krzykiem, za chwilę wyszedł generał. Uspokoił swoich pracowników, dopytał, co się stało i dlaczego, pogratulował nam pracy mówiąc, że linię trzeba po prostu zrobić wyżej. Nie ma co ukrywać, że odetchnęliśmy z ulgą, bo różnie mogło się skończyć. Jeszcze w latach pięćdziesiątych uznano by to za sabotaż i kara byłaby surowa.

Dostosowanie linii trwało sześć lat, ale to gigantyczne przedsięwzięcie skończyło się fiaskiem. Pasażerów było jak na lekarstwo, transport autobusowy przejmował wszystkich. Trudno się dziwić, bo stacje kolejowe były oddalone od miast, z Tarczyna do stacji było około 4 km, z centrum Grójca - co najmniej 2 km, z Mogielnicy – 3 km. W roku 1991 zamknięto ruch osobowy. W tym samym czasie likwidowano jednostki wojskowe, w tym także tę w Nowym Mieście, odpadł główny klient i przewóz towarowy zmalał prawie do zera. Coraz mniej ludzi pracowało na kolejce. W lokomotywowni w połowie lat dziewięćdziesiątych zatrudnionych było dwieście osób, potem sto, gdy w roku 1988 odchodziłem z pracy - siedemdziesiąt.

Los kolejki grójeckiej został przypieczętowany 1 września 1996 roku. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy piaseczyńskiej wąskotorówki, czy istniałaby w obecnym stanie, gdyby nie działalność grupy jej miłośników. Dwa lata po ostatecznym zawieszeniu ruchu powstało Towarzystwo Restauracji Grójeckiej Kolejki Wąskotorowej, które po następnych dwóch latach przekształcono w Piaseczyńskie Towarzystwo Kolei Wąskotorowej. Wiele osób pracowało na rzecz kolejki, ale siłą napędową całej grupy był świętej pamięci Jurek Chmielewski. To dzięki niemu, w 2006 roku, po latach głuchej ciszy, tory znów zadźwięczały pod kołami parowozu i wagonów osobowych. Jurek odszedł, parowóz zastąpiła lokomotywa spalinowa, ale nadal pasjonaci wąskotorówki poświęcają jej swój czas, energię i serce.

Dwadzieścia pięć lat mojej pracy na wąskotorówce minęło nie wiedzieć kiedy i stało się tak, że dyrekcja zdecydowała o przeniesieniu mnie do Warszawy na stanowisko naczelnika zarządu. Mimo, że grójecka wąskotorówka powoli zamierała, broniłem się przed przeniesieniem mocniej, niż przed przyjęciem pracy w Piasecznie. Tym razem też się nie udało uniknąć zmiany. Dziś pracuję w warszawskim Muzeum Kolejnictwa, ale stacja w Piasecznie stała się moim domem w sensie dosłownym, bo mieszkam z rodziną w budynku byłej przychodni. Z okien widać zmiany jakie zaszły w krajobrazie, ale ja w pamięci mam tamten miniony świat: stacyjny gwar, siedem torów, parowozy, syk pary, tłumy pasażerów i ludzi, z którymi miałem szczęście pracować.



Adam Gerstmann

Teresa Hałacińska_Layout 1 2016-12-28 08:56 Strona 25

Wspomina Teresa Hałacińska

Najważniejsze miejsce

Moja mama, rodowita piaseczynianka, w poszukiwaniu pracy trafiła w okolice Białowieży, w rodzinne strony swego przyszłego męża. Tam się poznali, w 1926 roku wzięli ślub i zamieszkali w Warszawie. Do rodziny mieszkającej w Piasecznie jeździliśmy ciuchcią. Moje pierwsze wspomnienie z tych wypraw wiąże się z imieninową wizytą u ciotki Janiny. Było to dawno temu, gdy świat wyglądał zupełnie inaczej, a z perspektywy kilkuletniego dziecka wszystko było olbrzymie. Był piękny czerwcowy dzień, wysiedliśmy na stacji i szliśmy na ulicę Kauna, bo tam mieszkała ciotka. Przechodziliśmy koło cmentarza ścieżką prowadzącą wzdłuż torów kolejki. Mijaliśmy do dziś stojący pomniczek Matki Bożej przy ulicy Kościuszki, by tą ulicą dotrzeć na miejsce. Kościuszki wyłożona była wówczas bazaltową kostką ułożoną w półkola, jak rybia łuska. Z przejęciem szurałam pantofelkami po śliskim, ciemnym kamieniu. U solenizantki czekał ustawiony na werandzie stół pełen smakołyków, pachniały kwitnące jaśminy, a ja byłam szczęśliwa.

Na swoim

W stolicy mieszkaliśmy do 1949 roku, z tym, że na czas Powstania Warszawskiego ojciec wywiózł nas do rodziny w Gołkowie.W 1949 roku ojciec zakupił od wdowy po Ignacym Myślickim dom wraz z dużym, pięknym ogrodem w Piasecznie przy ulicy Czajewicza dawnej Leśnej. Myśliccy byli trzecimi właścicielami willi, nabyli ją w lipcu 1923 roku od Ignacego i Aleksandry z domu Olewniczak Laszkiewiczów. Zaświadcza o tym akt sporządzony pięknym, kaligraficznym pismem w kancelarii warszawskiego notariusza Mieczysława Hulanickiego. Zapisano w dokumencie, iż małżonkowie Myśliccy, Ignacy i Aleksandra z domu Szwajsówna, nabyli nieruchomość pod nazwą willa Genigródek oraz willa Swoboda wraz z dwoma działkami o łącznej *przestrzeni 746,29 sążni kwadratowych w naturze złączone i jako jedna całość oparkanione* (746,29 sążni - około 2380 m kw.). W swoje posiadanie *bezzwłocznie otrzymali ogród owocowy i warzywny, jesienny i zimowy wraz z ogrodzeniami (...) z drobnym inwentarzem martwym i z trzema lampami wiszącymi elektrycznymi i w ogóle z tem wszystkiem, co z prawa natury i przeznaczenia stanowi nieruchomość.* Natomiast *owoc letni i kartofle w ogrodzie zostały wyłączone na rzecz małżonków Laszkiewiczów. Oprócz tego przysługiwało im prawo zajmowania do pierwszego września roku bieżącego, bezpłatnie, gdyż to uwzględniono przy określeniu szacunku sprzedażnego, dwóch pokojów na I piętrze ze wspólnym stołowym i kuchnią.*

Państwo Myśliccy, zgodnie z aktem notarialnym kupili dwie wille, lecz gdy sprzedawali Gienigródek mojemu ojcu, druga willa w dokumentach nie była już wymieniona i do nas nie dotarły żadne informacje na jej temat. Być może, została sprzedana wcześniej. Ojciec nie dopytywał o to, mógł nawet nie znać treści starego dokumentu i nie wiedzieć o istnieniu willi Swoboda.



Piaseczno, lata pięćdziesiąteXX w., willa Gienigródek, widok od strony cmentarza parafialnego. W prawym dolnym rogu widać tory biegnące tuż przy ogrodzeniu domu, obecnie jest to ulica Tadeusza Gerbera.
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej

Dom został kupiony, przeprowadziliśmy się do Piaseczna, ale zamieszkać u siebie nie mogliśmy. Prawnie był dom nasz, w rzeczywistości podlegał ówczesnej władzy, nawet kluczy do niego nie mieliśmy. Przez dziewięć lat całe pierwsze piętro willi zajmował sąd grodzki, zainstalowany w willi w roku 1940. Sąd został przeniesiony do Góry Kalwarii, ale w domu nadal byli lokatorzy. Głównym lokatorem oficjalnie był sędzia Marian Borzęcki zajmujący pierwsze piętro, trzy rodziny mieszkały na parterze i strychu, a my gnieździliśmy się w lokalu wynajętym przy ulicy Rejtana. W pokoju z kuchnią mieszkało siedem osób: rodzice i pięć córek. Różnica wieku między dziećmi była duża, najmłodsza siostra jeszcze do szkoły nie chodziła a najstarsza do małżeństwa się już szykowała. Ojciec, pod pretekstem, że chce przyjęcie weselne w willi urządzić, wypożyczył od władz klucze. Ślub się odbył, skromne wesele też, a ojciec tak długo zwlekał z oddaniem kluczy, aż wychodził pozwolenie na wprowadzenie się do domu. I mimo że willa była zniszczona, mimo że nadal zamieszkiwali ją lokatorzy przydzieleni z kwaterunku, byliśmy szczęśliwi, bo nareszcie na swoim.

Dom w ogrodzie

Wnętrze domu było fascynujące tak samo jak jego zewnętrzna architektura. W wieży był pokój w kształcie ośmiokąta foremnego z balkonem, na który wychodziło się po wysokich schodkach. Pod nimi był zamykany schowek, bo dom był tak zaprojektowany, aby wykorzystać każdą przestrzeń. Obok znajdował się drugi pokój, nie wiedzieć czemu zwany przez mamę karcianym, pomalowany na granatowo w srebrne wzorki, ze skośnym sufitem, z lukarnami (małe okienka w dachu doświetlające poddasze lub strych dop. red.). W ro-

gach pokoju wbudowano do dziś zachowane śliczne trójkątne szafeczki ze szklanymi drzwiami. Na parterze była bardzo duża kuchnia z malutkim korytarzykiem, jakby przedpokojem. Stała w nim skrzynia na węgiel, a w ścianie kuchennej była mała klapka, przez którą ten węgiel się wybierało. Był malutki pokój dla służącej, ładny korytarz, ubikacja i łazienka. Stał w niej metalowy piec do ogrzewania i krótka wanna, która miała nogi w kształcie pazurów drapieżnego ptaka. Jadalnia miała chyba ze czterdzieści metrów kwadratowych, na ścianach była zielona tapeta z lamperią z zielonych deseczek a najciekawszy był fresk na suficie. Dokoła białego plafonu namalowano jakieś owoce, ptaki z długimi ogonami, wszystko barwne i piękne.

W dużym pokoju, tym od strony podwórza, stał pod ścianą płaski, drewniany ołtarz - dowód na masońskie konotacje poprzednich właścicieli. Nie pamiętam dobrze jak on wyglądał, ojciec szybko wszystko wyrzucił. Masońskimi śladami są zewnętrzne płaskorzeźby na wieży. Na płaskorzeźbie nad oknem od strony północno-zachodniej widać rulon papieru, cyrkiel, węgielnicę oraz głowicę kolumny na tle laurowego liścia, na tej drugiej nad oknem od strony południowo-zachodniej jest liniał, kielnia, młotek, arkusz papieru, pion i poziomica. Tutaj także tłem jest liść laurowy. Ta największa, nad werandą, przedstawia Madonnę siedzącą na tronie wśród chmur, trzymającą w objęciach Dzieciątko.

Ponoć wszystkie symbole wzięły się stąd, że pierwsi właściciele byli związani z masonerią, z którą pan Myślicki podobno też miał silne powiązania.

Willa tonęła w zieleni. Otaczały ją srebrne świerki, modrzewie, wiele krzewów: różnokolorowe szlachetne bzy, jaśminy, kapryfolium. Niektóre z nich zachowały się do dzisiaj. Za domem ciągnął się sad i duży warzywniak, był też zagon truskawek. Gnieździło się mnóstwo ptaków, żyły węże, a ile było żab i ropuch! Wiosną żaby wędrowały przez drogę do rzeki, a potem wracały. Te wędrówki skończyły się, gdy na ulicy położono asfalt. Z czasem żaby zniknęły, tak samo jak węże.

Ogród był bardzo zaniedbany, zarośnięty zielskiem, plątaniną zdziczałych jeżyn i malin. Wiele starych, spróchniałych drzew owocowych trzeba było usunąć. Do cięższych prac porządkowych rodzice zatrudniali jakiegoś pana, który miał sprzęt rolniczy i konia. W trakcie karczowania dużego drzewa zdarzył się wypadek - pod dużym, ciężkim koniem zarwała się ziemia. Okazało się, że zwierzę wpadło aż po łeb do starego, nieczynnego i zamurowanego szamba! Dom, choć wybudowany w 1907 roku, miał bieżącą wodę i kanalizację z trzema bardzo porządnymi murowanymi, zakrytymi szambami znajdującymi niedaleko domu. Gdy wprowadziliśmy się wodociąg i kanalizacja były zepsute, a szamba puste. Nikt się nie domyślał, że w ogrodzie jest jeszcze jedno szambo ze sklepieniem porośniętym trawą, tak głębokie, że konia trzeba było na linach wyciągać. Na szczęście, nic mu się groźnego nie stało, miał tylko poranione jedno kopyto.

Wodę czerpaliśmy ze studni w ogrodzie albo z dużej, stylowej pompy przy domu. Niska studnia murowana z półokrągłej cegły miała zniszczone ocembrowanie i dla bezpieczeństwa była zakryta deskami. Woda w studni była wspaniała - czysta i bardzo zimna, ale ojciec bał się, że ktoś może wlecieć do środka i pilnował, żeby korzystać z pompy. Czasem podczas upałów mama, jak do lodówki do studni spuszczała na sznurku bańkę z mlekiem, kompotem czy chłodnikiem.

Pompa była duża, metalowa, miała rączkę zakończoną kulą i kran z wyrzeźbioną głową lwa. Obok niej stała stara wanna i latem do naszych porannych obowiązków należało napełnienie jej wodą, którą wieczorem podlewało się grządki. Nie narzekałyśmy, bo gdy woda nagrzała się od słońca, urządzałyśmy sobie kąpiele.

Po ojca śmierci popsuł się w pompie jakiś mechanizm w części podziemnej i szwagier, który był złotą rączką, podjął się naprawy. Ci, którzy pompę budowali zrobili to niezwykle solidnie i pomyśleli o wszystkim. Przez zakryty porządną klapą właz schodziło się do wnętrza po klamrach wmurowanych w cegły, na dole był podest, na którym wygodnie i bezpiecznie stojąc można było zająć się naprawą.

Lokatorzy i remonty

Mieliśmy już swój dom i ogród, co nie znaczy że żyliśmy wygodnie i luksusowo. To był czas, gdy obowiązywał tzw. kwaterunek. Władze miały prawo dokwaterować lokatorów do prywatnych mieszkań czy kamienic bez zgody właściciela, przy tym urzędowe stawki za czynsz były śmiesznie niskie, a byli i tacy lokatorzy, którzy nie płacili czynszu i nie ponosili z tego powodu żadnych konsekwencji.

W naszym domu mieszkali różni lokatorzy, co pokój to inna rodzina, jedni kulturalni, spokojni, inni potrafili złośliwości robić. Mama miała zdolności dyplomatyczne i potrafiła się z każdym dogadać, ale łatwo nie było. A to ktoś króliki na strychu hodował, ktoś w pokoju drzewo rąbał, ktoś inny piecyk, zwykłą „kozę",wstawił i rurę przez cały pokój do przewodu kominowego w ścianie doprowadził. Od wysokiej temperatury popękała w tym pokoju podłoga zrobiona z pięknej masy plastycznej. Sytuacja unormowała się w latach siedemdziesiątych, gdy przestała obowiązywać ustawa o kwaterunkach i ojcu udało się dla lokatorów znaleźć inne mieszkania. W willi zostaliśmy my i rodzeństwo Strusów - Zofia i Jerzy. To byli wyjątkowi ludzie na wyjątkowych prawach.

Piaseczno, rok 1955, willa Gienigródek, na schodach domu stoją: Zofia Struss z dziećmi Zofią i Jerzym z zawsze towarzyszącymi im kotami.
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej



Ich rodzice, Zofia i Julian, przyjechali do Polski w 1921 roku z Rosji. Bolszewicy wymordowali ich rodzinę, im cudem udało się uciec. W Moskwie, pan Julian z wykształcenia ekonomista, był dyrektorem banku. W Warszawie dzięki pomocy przyjaciół otrzymał posadę dyrektora Banku Rolnego. Jeszcze przed wojną, w roku 1933 Strusowie wynajęli mieszkanie w Piasecznie u państwa Myślickich, więc po tylu latach pobytu byli traktowani niemalże jak domownicy. Rodzeństwo Zofia i Jerzy, oboje bardzo dobrze wykształceni, znający kilka języków, pracowali jako nauczyciele w piaseczyńskich szkołach, a w czasie okupacji nauczali na tajnych kompletach. To byli niezwykle kulturalni, inteligentni, życzliwi ludzie. Lubiłam do nich chodzić, bo mieli dużo książek i często któreś z nich czytywało mi powieści, najchętniej sięgali po Dickensa. W 1989 roku, w wieku dziewięćdziesięciu lat, zmarł pan Jerzy, ostatni potomek rodziny Strussów. Pochowany został, tak jak rodzice i siostra, na piaseczyńskim cmentarzu.

Niechciani lokatorzy bezkarnie dewastowali i tak już zniszczony w czasie wojny dom, a rodzice, mimo trudności finansowych, bo przecież nie wszyscy czynsz płacili, starali się o willę dbać. Remontowano dach, rynny, piece, instalację elektryczną. Pamiętam, że piece remontował zdun, pan Feliks Kisieliński zwany Kafelkiem. Wysoki, tęgawy, zawsze pogodny, uśmiechnięty, lubiłam asystować mu przy pracy, bo ciekawe i wesołe historyjki opowiadał. Był bardzo dobrym fachowcem, piece które naprawiał do tej pory działają. Tak samo dobrym mistrzem w swoim zawodzie był elektryk, pan Wyrzykowski. Co jakiś czas trzeba było odświeżyć ściany. Malowało się wtedy farbą klejowa, którą malarze przygotowywali sami mieszając w odpowiednich proporcjach farbę z klejem. Mama mówiła im, żeby równo ściany malowali, ale jak skończyli zawsze widać było ślady pędzli albo jakieś wybrzuszenia i trzeba było tzw. rzucik zrobić, były do tego specjalne wałki. A mama się złościła, bo chciała mieć ściany gładkie. Do dużego prania przychodziła pani Przeździecka, którą wszyscy nazywali *Bezdziecka*. W budynku gospodarczym stawała balia, tara, było noszenie wody, gotowanie pościeli, ściereczek, ręczników, potem płukanie wypranych rzeczy. Często przyglądałam się, jak pani Przeździecka pierze pochylona nad balią trzymając w kąciku ust zapalonego papierosa. Bezceremonialnie pytałam, czy rzeczywiście nie ma dziecka, a ona potwierdzała, że nie ma.

Rodzice postanowili też gruntownie wyremontować werandę, która wyglądała inaczej niż dzisiaj, nie była oszklona i miała trójspadzisty daszek. Podczas prac okazało się, że nie powstała w jednym czasie z domem, została do niego dobudowana, o czym świadczyło ułożenie cegieł, a przy wybieraniu ziemi wokół głębokich, co najmniej trzymetrowych fundamentów, odkryto arsenał broni. Ojciec zgłosił to na milicję.

Wilczy bilet

Starsze siostry kończyły swoją edukację w szkołach warszawskich, młodsze, czyli Hela, ja i Wanda, uczyłyśmy się już w szkołach piaseczyńskich. Hela w 1949 roku zaczęła liceum, które mieściło się wtedy przy ulicy Zgoda. W tym samym budynku była szkoła krawiecka. Liceum, jako społeczną placówkę, założył późniejszy przewodniczący Prezydium Rady Narodowej Warszawy, Zygmunt Dworakowski. W 1950 roku szkołę upaństwowiono i dyrektorem został Stanisław Strzyżewski.

Piaseczno, pierwsza połowa lat pięćdziesiątych XX w., Liceum Ogólnokształcące przy ul. Zgoda 1, stoją od lewej: Barbara Laubensztejn, Irena Stal, siedzą od lewej: Włodzimierz Kudlak, Bolesław Bukowiński.
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej



To były czasy, gdy w szkołach głos decydujący miały władze partyjne, gdy intensywnie działał Związek Młodzieży Polskiej, dla którego wzorem był radziecki komsomoł (komunistyczna organizacja młodzieży w Związku Radzieckim dop. red.). Brak przynależności do ZMP nie był heroizmem, ale wymagał od młodego człowieka odwagi cywilnej, bo mogło to skończyć się tzw. wilczym biletem, który utrudniał zdanie matury, a na pewno zamykał drogę na studia. Kościół był przeciwwagą dla komunistycznej indoktrynacji młodzieży, ale było to trudne i niebezpieczne działanie, bo dla władz był wrogiem nowego ustroju i Polski.



Piaseczno, pierwsza połowa lat pięćdziesiątych XX w., Liceum Ogólnokształcące przy ul. Zgoda 1 od lewej: Waldemar Sikora, Ryszard Sztet, Ryszard Najder, Henryk Matuszkiewicz, Włodzimierz Kudlak;
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej



Piaseczno, pierwsza połowa lat pięćdziesiątych XX w., Liceum Ogólnokształcące przy ul. Zgoda 1, stoją od lewej: Barbara Laubensztejn, Irena Stal, Krystyna Grzybowska, Barbara Zduńczyk, Halina Staniszewska, Barbara Gontarska, Janina Uliasz, Barbara Adamska (1),Wanda Rubinowska, Zofia Zając. Klęczą od lewej: / –/Halina Słowik, Stanisława Szmit (Szmidt), Daniela Woźnicka, Barbara Adamska
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej



Piaseczno, pierwsza połowa lat pięćdziesiątych XX w., Liceum Ogólnokształcące przy ul. Zgoda 1, stoją od lewej: Daniela Woźnicka, Krystyna Grzybowska, Jadwiga Nojek, Halina Słowik, Halina Staniszewska, Barbara Adamska (1), Helena Łukjaniuk, Barbara Adamska (2)
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej

Gdy Hela chodziła do liceum religii uczył młody, pogodny, odważny ksiądz Stanisław Hermanowicz. W maju organizował dla młodzieży wycieczki rowerowe, podczas których przy kapliczkach przydrożnych odprawiano maryjne nabożeństwa, a po powrocie do miasta wszyscy szli na lody do pana Przestępnego. Zimą i latem, dzięki staraniom księdza wyjeżdżano na kilkudniowe wycieczki w góry. Młodzież była włączana w zdobywanie funduszy na te wyjazdy. Przygotowywali w kościele jasełka czy misteria, po których odbywała się wśród widzów kwesta.

Ksiądz odegrał ważną rolę w życiu Heli i jej klasy. Był marzec 1953 roku, dzień śmierci Stalina, w tym czasie grupą ZMP w szkole przewodził kolega Ryjak. Rankiem siostra, jak to często bywało, tuż przed dzwonkiem wpadła do klasy, gdzie przed portretem Stalina klęczał głową niemal podłogi dotykając, pogrążony w głębokiej żałobie któryś z jej szkolnych kolegów. A, że młodym głupie pomysły do głowy przychodzą, to niewiele myśląc klepnęła go w wypięty tyłek, teczkę rzuciła na ławkę i pobiegła na codzienny apel. Jeszcze nie wiedziano o śmierci Stalina, uczniowie jak zawsze przed apelem gadali, żartowali, a najweselsza była znana w szkole śmieszka Hela. Klepnięty kolega poleciał na skargę, dodatkowo zachowanie Heli i jej koleżanek przed apelem uznano za skandaliczne i afera się zrobiła nieziemska. Do akcji przystąpił pierwszy sekretarz partii i smutni panowie (funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa dop. red.) z Warszawy. Klasa miała być niedopuszczona do matury, a Heli groziło wydalenie ze szkoły z groźnym wilczym biletem. Na szczęście, rodzicom i nauczycielom przy dużym współdziałaniu ks. Hermanowicza udało się w sposób dyplomatyczny wpłynąć na zmianę decyzji władz partyjnych. Wszyscy uczniowie mogli przystąpić do matury pod warunkiem, że bardzo dobrze zdadzą egzaminy. W przygotowaniach do egzaminu bezinteresownie pomagali im nauczyciele.

Czas szkoły

Ja i Wanda uczyłyśmy się w Szkole Podstawowej przy ulicy Świętojańskiej. Przy okazji nauki gry na fortepianie uczyłam się czytać i pisać. Opanowałam tę sztukę na tyle dobrze, że mogłam rozpocząć naukę od razu w drugiej klasy. Byłam z tego powodu bardzo szczęśliwa. W tamtych czasach pierwszoklasistów nazywano w szkole pogardliwie pierdakami i bardzo nie chciałam, żeby o mnie ktoś tak mówił.

Świętojańska była jak na tamte czasy jedną z porządniejszych ulic Piaseczna. Była brukowana, miała chodnik, latarnie, rosły przy niej piękne drzewa. Szkoła była piętrowa z dobudowaną po wojnie salą gimnastyczną. Sale szkolne były do siebie podobne: porysowana, pełna drzazg drewniana podłoga, duża tablica, nad którą wisiały portrety partyjnych przywódców. Siedzieliśmy w przedwojennych zniszczonych, drewnianych ławkach, pośrodku pulpitu była dziura na kałamarz, do którego codziennie rano woźny pan Płatek starym czajniczkiem do parzenia herbaty nalewał atrament. Zanim w sutenerach zrobiono szatnie w każdej klasie stał pod ścianą długi, drewniany wieszak. Każda klasa miała też tzw. kącik czystości z miednicą stojącą na taborecie, dzbankiem na wodę i wiadrem. Wbrew nazwie tym kącikom daleko było do czystości. Zresztą, w szkole z czystością było wtedy różnie. Chodziliśmy wszyscy w granatowych fartuszkach z obowiązkowym białym kołnierzykiem, ale szerzyła się wszawica, higienistka co i rusz sprawdzała nam włosy. Kiedyś zimą było takie nasilenie wszawicy, że przyjechała ekipa sanitarna i proszkiem DDT wysypała wszystkie palta. Palta śmierdziały, wszy nadal szalały a ja się dziwiłam, czemu nam głów nie obsypali.



Piaseczno, rok 1955, przed lekcją religii przy bramie kościoła św. Anny, od lewej przy drewniaku: nn, Stelmaszczyk z Zygmuntem Borowskim, tuż nad nimi Andrzej Świtalski; w grupie dziewcząt na dole od lewej w pierwszym rzędzie: Jadzia Rzepińska, Wiesia, Zosia Wasiewicz, Filipowicz, Janka Skalska; od lewej w drugim rzędzie: Teresa Łukjaniuk, Jola Leszek, Wanda Szczepańska, Millerówna, Basia Szadkowska, Ela Żółkiewska.
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej

W mojej klasie, jak w całej szkole, przekrój wiekowy był duży, różnice sięgały nawet kilku lat i młodsi często bali się tych starszych, mimo że nauczyciele pilnowali, by w szkole było spokojnie i bezpiecznie. Na przerwach spacerowaliśmy parami wzdłuż korytarzy pod czujnym okiem nauczyciela, latem pauzy spędzaliśmy na boisku. Dziewczynki grały w klasy, bawiły się w kole np. *w karuzela czeka* albo *uli-ulijanko*, skakały na skakance. Chłopcy grali w zośkę lub nogę, a niektórzy w WC palili papierosy kupowane na sztuki. Zdarzało się, że ktoś nie przestrzegał obowiązujących na boisku zasad i zwykle źle się to kończyło. Tak było, gdy *Kapusta* z klasy VIb, mimo zakazu jeździł po boisku rowerem. Najechał na mnie i rozbił mi głowę. Miał wtedy dużo nieprzyjemności, a ja pamiątkę zdarzenia w postaci blizny na czole. Ale szkolne przestępstwa były czasem popełniane dla dobra klasy. W szkole co roku były organizowane zbiórki makulatury i złomu, wszystkie klasy walczyły o pierwsze miejsce i naszej raz udało się ten sukces osiągnąć. Nasi chłopcy na czele z kolegą Brajbiszem, którego ojciec był zawiadowcą stacji piaseczyńskiej kolei szerokotorowej, triumfalnie przynieśli duży element z podwozia wagonowego i jego waga zdecydowała o przyznaniu nam pierwszego miejsca. Długo się nie cieszyliśmy, bo w szkole zjawiła się straż kolejowa, nakazała zwrot zagrabionego mienia i tyle było naszego szczęścia. Jak ta historia skończyła się dla Brajbisza tego nie wiem, ale pewno kary nie uniknął.

W tamtych czasach w szkole panowała dyscyplina a przed nauczycielami czuło się respekt, chociażby z tego powodu, że za przewinienia dostawało się *łapy* piórnikiem. Te mniej solidne piórniki potrafiły rozlecieć się podczas wymierzania kary. Ponoć smarowanie rąk cebulą ła-

godziło ból, tak przynajmniej opowiadano sobie między uczniami. Jednym z nauczycieli, którzy rzadko stosowali taką karę, był pan Franciszek Wieczorek, nasz wieloletni wychowawca. Uczył nas fizyki, matematyki, chemii. Bardzo go lubiliśmy, bo chociaż był stanowczy i wymagający, to oceniał sprawiedliwie i szanował uczniów. Jeśli z kimś miał przeprowadzić rozmowę wychowawczą zawsze robił to poza klasą, nie ośmieszał, nie upokarzał, co nie znaczy, że nie spotykały nas kary. Za większe przewinienia cała klasa zostawała po lekcjach na karne zajęcia z matematyki czy fizyki. Trzeba dodać, że nauczycielowi nikt nie płacił za ten dodatkowy czas.

Lubiani byli też państwo Fajtowie[1], pani Zofia Wróblewska, zaufanie budził pan Górnisiewicz, który był kierownikiem szkoły. Pan Fajt uczył geografii i biologii. Przynosił ciekawe geograficzne książki, których fragmenty czytaliśmy na lekcjach, pokazywał zdjęcia z różnych miejsc na świecie rozbudzając zainteresowania. Pani Wróblewska, polonistka, uczyła nas miłości do języka ojczystego i patriotyzmu, co wymagało odwagi w czasach, gdy w obowiązkowych szkolnych lekturach były opowieści o pionierach, komsomolcach i dzielnych żołnierzach radzieckich. Dla mnie bardzo ważne były zajęcia w przyszkolnym ognisku muzycznym prowadzonym przez panią Zofię Pisarską. Uwielbiałam lekcje gry na fortepianie i ta miłość do muzyki zaważyła na mojej przyszłości. Skończyłam studia muzyczne i zawsze pracowałam zgodnie z moim wykształceniem.

Sympatią cieszył się ksiądz Stanisław Hermanowicz, który w naszej szkole, tak jak w liceum, miał lekcje religii, katechetką była wtedy pani Zofia Rowińska. Lekcje religii odbywały się w szkole jeszcze w początku lat pięćdziesiątych, nawet krzyże w klasach wisiały. Gdy decyzją władz państwowych krzyże zostały zdjęte, a szkolne katechezy zlikwidowane na religię biegaliśmy do organistówki. Tam uczył nas lubiany i szanowany ksiądz Klewiado. Lekcje prowadził ciekawie. Lubił z nami żartować, dzięki niemu powstał chór przykościelny dla dziewcząt, a dla chłopców grupa ministrancka. Ksiądz często organizował wycieczki, a latem miesięczne wyjazdy na Suwalszczyznę do gospodarstwa swojej matki. Spaliśmy w stodole, obok było jezioro, po którym pływaliśmy łódkami. Były kąpiele, zabawy, wieczorne ogniska, były i msze święte odprawiane w pobliskiej kaplicy, podczas których wykorzystano moje umiejętności i grałam na fisharmonii.

Za furtką domu

Podobno pierwsza właścicielka willi nie chciała w niej mieszkać z powodu widoku na cmentarz. Nam to nie przeszkadzało. Jako dziecko lubiłam patrzeć na jarzący się światłami cmentarz. Szczególnie pięknie wyglądało to w dzień Wszystkich Świętych. Był wtedy w Piasecznie zwyczaj, że rano była uroczysta msza, a na cmentarz ze zniczami szło się po południu, gdy już zmierzchało. Wszystkie groby były uporządkowane. Na każdym płonął choćby jeden znicz. Już kilka dni przed uroczystością całymi klasami po zajęciach chodziliśmy porządkować opuszczone groby. Układaliśmy na grobach krzyżyki z kasztanów, żołędzi albo śnieguliczek. Teraz już nikt chyba takich dekoracji nie robi. Mur cmentarny był głębiej niż jest w tej chwili, był też dużo niższy od obecnego. Wejście było od strony ulicy Kościuszki, a cmentarne śmieci były wyrzucane za mur od strony torów i palone. Śmierdziało wtedy nieziemsko.

[1] WPotocznie w Piasecznie mówiono Fajt. Właściwa pisownia nazwiska to Veidt. Państwo Jadwiga i Romuald Veidt byli znanymi w Piasecznie nauczycielami, którzy wychowali wiele pokoleń uczniów. (dop. red.)

Teren dookoła domu był duży, kończył się w połowie obecnej ulicy Tadeusza Gerbera, obok była droga, a równolegle z nią biegły tory kolejki do Góry Kalwarii. Ciuchcia jeździła tak punktualnie, że można było zegarek regulować. Przejazd między naszym płotem a torami był wąski, gdy jednocześnie z pociągiem przejeżdżała furmanka bywało, że konie się płoszyły i wpadały na ogrodzenie. W latach osiemdziesiątych budowano kanalizację i władze przejęły część ogrodu. Zniszczeniu uległ wtedy żywopłot z morwy sadzony przez mojego ojca.

Nasza posesja ogrodzona była siatką. Furtka była solidna, z grubych, drewnianych belek, miała pięknie rzeźbioną metalową klamkę z automatyczną zapadką. Gdy rodzice nie widzieli stawałyśmy z siostrą na furtce i jeździłyśmy w tę i z powrotem gapiąc się na ulicę. Na końcu ulicy Czajewicza, na placu blisko Jeziorki był targ nasienny. Mama nieraz tam po pszenicę dla kur chodziła i najwięcej atrakcji miałyśmy w dzień targowy, gdy chłopi furmankami przejeżdżali. Kiedyś to my dostarczyłyśmy atrakcji przejeżdżającym obok naszego domu. Był czas, że ojciec znękany ciągłym hałasem hodowanych u nas kaczek sprowadził wyjątkową odmianę - kaczki piżmowe, które były nieme. Duże, czarne, z pofałdowaną, czerwoną skórą dookoła oczu i nad dziobem, potrafiły latać, czego nie wiedziałyśmy. Huśtałyśmy się na tej furtce a cztery ptaszyska przysiadły na jej górnym obramowaniu. Dla nas powód do radości, były *śmichy-chichy,* a kaczki zrobiły frrrr…, przeleciały nad ulicą, gdy akurat chłop furmanką przejeżdżał i spłoszyły konia. Chłop w krzyk, my w płacz, że kaczek nie upilnowałyśmy. Na szczęście, kaczki wróciły, chociaż miałyby gdzie się zgubić, bo wzdłuż Czajewicza prawie do samej rzeki ciągnęły się sady.

W stronę rzeki

W tamtych czasach krajobraz wokół naszego domu niewiele się zmienił od lat międzywojennych. Na mapie pochodzącej z tamtego okresu widać, że między ulicami Świętojańską a Czajewicza, która wtedy nazywała się Leśna, od cmentarza aż po rzekę rosną sady, ledwie kilka domów wśród nich zaznaczono; od Czajewicza do torów kolejki, tej w stronę Grójca, były pola, a las zaczynał się dopiero w Zalesiu.

Ulice były obsadzone drzewami, na naszej rosły głównie topole. Przed jednopiętrowym drewniakiem, który stał naprzeciwko naszego domu też rosły topole - wysokie, stare. Często łamały je silne wiatry. Mama martwiła się, że spadną na nasz dom i szkody narobią. Rzeczywiście, zdarzało się, że leciały na naszą posesję grube konary, ale zawsze przyjmowały je na siebie rosnące wzdłuż ogrodzenia świerki i modrzewie. Z chroniących nasz dom drzew został do dziś jeden modrzew. Wiele lat temu podczas silnej wichury poleciała na niego topola, połamała gałęzie, ale jedna ocalała i drzewo odbiło. Nie ma topoli, nie ma też starego, drewnianego domu, w którym mieszkały cztery rodziny. Gdy wyprowadzili się wszyscy lokatorzy pusty budynek został miejscem spotkań wielbicieli mocnych i tanich trunków, dwa razy był podpalany, aż w końcu został rozebrany.

Za naszym ogrodem w niewielkim sadzie stoi zachowany do dzisiaj dom państwa Toporków. Kolejna działka to był też sad ciągnący się aż do ulicy Krótkiej, otaczający duży dom pani Bobrowskiej. Z czasem właścicielka podzieliła teren na działki, posprzedawała je, a do starego domu prowadzi dziś wąska droga.

Teren od Krótkiej aż do rzeki zajmowało gospodarstwo ogrodnicze z sadem i inspektami. Kupowaliśmy tam czasem jakieś kwiaty do wazonu a wiosną bratki do ogrodu.

Na samym końcu ulicy Czajewicza do dziś stoi budynek, w którym mieszkał pan, zajmujący się wyprawianiem zwierzęcych skórek, wypychał też ptaki i zwierzęta. Artystycznie to robił. Kiedyś nasza ciotka wysłała do niego moją siostrę: *Zapytaj pana Ząbka, czy wyprawi królicze skórki.* Siostra poszła i już od progu woła: *Dzień dobry, czy jest pan Ząbek?* na co poszukiwany odpowiedział groźnie: *Helka, jak jeszcze raz powiesz Ząbek, to ci nogi z d... powyrywam! Zjeżdżaj stąd!* Siostra uciekła, ale nie wiedziała, czemu ten pan tak krzyczał, przecież była grzeczna. A on się złościł, bo to było przezwisko, bo miał wstawiony z przodu złoty ząb.

A potem już była rzeka. Odbywały się nad nią nie tylko targi. Był tam plac, na którym stawiano dechy, była muzyka, tańce, różne kulturalne imprezy. Pamiętam występ zespołu Pieśni i Tańca Skolimów, w którym tańczyła Barbara Kwiatkowska, późniejsza znana aktorka. Były spotkania z pisarzami, poetami, przyjeżdżali malarze na plenery. Dużo się działo a poza tym Jeziorka była rajem dla okolicznych mieszkańców, miejscem zabawy, kąpieli, odpoczynku. Od nas, z Czajewicza, wychodziło się wprost na wielką piaszczystą górę. Wyglądała jak gigantyczna babka z żółtego, czyściutkiego piasku. Pewno rzeka go naniosła, bo tu było jej zakole z wysokim brzegiem. Zimą dzieciarnia zjeżdżała z tej góry na sankach i najlepszy był ten, co na lód na rzece wjechał. My miałyśmy duże sanki z metalowym prętem z przodu i gdy zjeżdżałyśmy na śledzia, to nie raz głową w pręt się stuknęło, niejeden siniak był na czole. Lubiliśmy łazić po śniegu, który często w tym zakolu był tak głęboki, że co mniejszy dzieciak po nos się zapadał. Tacy mądrzy byliśmy.



Piaseczno, rok 1955, plac targowy (obecnie w tym miejscu stoi budynek Gimnazjum nr 2 im. Jana Pawła II, Aleja Kalin 30), w tle domy przy ul. Jerozolimskiej, na sankach: Włodzio Krug, od lewej Ula Krawczyk, Wanda i Teresa Łukjaniuk.
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej

Latem były kąpiele. Najwięcej chętnych zbierało się nad upustem, bo tam była głęboka woda. Ubrania zostawiano na brzegu, nikt tam nie bał się kradzieży, przecież wszyscy się znali. Chodziłyśmy prawie codziennie nad rzekę, często towarzyszył nam pies, wesoły, chętny do zabawy i biegania za rzuconym daleko patykiem. Pewnego razu podczas zabawy tak się rozochocił, że złapał w zęby czyjeś leżące na brzegu portki i w nogi! Długo za nim ganiałyśmy, portki wróciły do właściciela w kiepskim stanie, a najgorsze, że zagubił się przy tym zegarek. Gadania i przepraszania było dużo, szczególnie między poszkodowanym a moją starszą siostrą. Co tam było dalej między nimi już nie wiem, bo nad rzekę nie byłam przez siostrę zabierana,

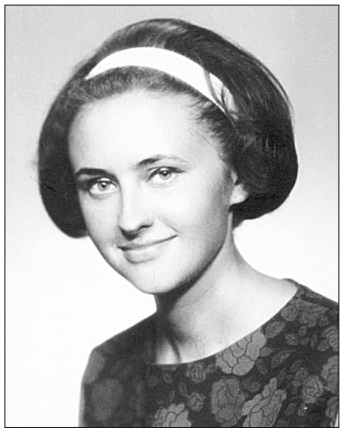
ale później, za tego, co mu pies portki ukradł, wyszła za mąż.

Od dawna nie ma już górki nad rzeką, nie ma sobotnich imprez ani targu, na miejscu sadów pobudowano domy, zniknęły topole, wyburzono *Pekin* dwupiętrowy drewniany dom, zasiedlany biedotą, nie żyje już wiele osób pamiętających dawne czasy.

Czasem z rozbawieniem myślę, że w pewien sposób powtarzam losy mojej mamy. Tak jak ona zamieszkałam z mężem w Warszawie, co prawda jej było dane do Piaseczna powrócić, ja jedynie z radością tu przyjeżdżam, ale wciąż to miasto jest dla mnie najważniejszym punktem na mapie.



Piaseczno, lata osiemdziesiąte XX w. przebudowa obecnej ulicy T. Gerbera w związku z budową kanalizacji sanitarnej.
Fot. archiwum Teresy Hałacińskiej



Teresa Hałacińska

z domu Łukjanik

Henryk Kozłowski_Layout 1 2016-12-28 09:01 Strona 38

Henryk Kozłowski_Layout 1 2016-12-28 09:01 Strona 39

Wspomina Henryk Kozłowski

Wspomnienie o pewnym domu

Na rogu ulic Żabiej i Kilińskiego, dawniej Zdrojowej, stoi nieduży, murowany dom. Został prawdopodobnie zbudowany w 1911 roku, bo taka data zachowała się na ścianie frontowej. W okresie międzywojennym mieszkali w nim Polacy i Żydzi, o czym świadczyły pisma znalezione kiedyś na strychu.



Budynek przy ulicy Żabiej róg Kilińskiego, zdjęcie z 2012 roku.
Fot. Małgorzata Szturomska

Gdy zamieszkałem tam w 1960 roku zajmując pokój na parterze był to budynek komunalny. Wygód nie było żadnych. W rogu małego podwórka była ubikacja, która nie zachęcała do przebywania na świeżym powietrzu. Obok stał śmietnik i trzepak, dużą część przestrzeni zajmowały połączone ze sobą murowane komórki z przeznaczeniem na węgiel, ale trzymano tam i inne rzeczy. Po wodę chodziło się z wiadrem do pompy, która znajdowała się na ulicy Kilińskiego. Pranie odbywało się na podwórku z pomocą pralki *Frani*. Raz w tygodniu chodziło się do czynnej tylko w soboty pobliskiej łaźni.

Po sąsiedzku, od strony Żabiej, była drewniana budka z piwem. Zawsze stały przy niej grupki miłośników tego napoju prowadząc głośne dyskusje, w których nie brakowało niecenzuralnych słów, a wszystkiemu przysłuchiwały się dzieci. Przy otwartym oknie nie można było niczego zostawić na parapecie, bo zaraz *niewidzialna ręka* to zabrała.

W budynku było sześć mieszkań – cztery na parterze i dwa na poddaszu, wszystkie po około 20 m kw. Mieszkało tam pięć rodzin, wśród nich państwo Maria i Antoni Witkowscy. Jedna z rodzin zajmowała się produkcją i sprzedażą figurek sprzedawanych na odpustach w pobliskich parafiach. Na podwórku stawał prowizoryczny warsztat: na blatach zrobionych z kilku desek

układano formy i odlewano z gipsu kurki, koguciki, potem je malowano i było niczym w piosence pt. *Kolorowe jarmarki*.

Za moich kawalerskich czasów przeżyłem w tym domu przygodę. W piątek rano poszedłem do pracy, potem od razu pojechałem do rodzinnego domu i wróciłem w niedzielę wieczorem. Otwieram drzwi i widzę stojącą pośrodku mojego pokoju trumnę, a w niej spoczywającego pana Witkowskiego.

Trzeba wiedzieć, że kiedyś rodzina myła i ubierała zmarłego. Wieczorem przy trumnie z ciałem śpiewano pieśni pogrzebowe, a następnego dnia był pogrzeb. Był jeszcze taki zwyczaj, że gdy zmarłego z domu wynoszono, przewracano krzesła i taborety do góry nogami, żeby śmierć więcej nie przychodziła. Dziś zakład pogrzebowy ciało zabiera, malują zmarłego tak, że wygląda ładniej niż za życia, ale nie ma kto pieśni na pożegnanie zaśpiewać.

Ja wtedy, gdy już pierwsze zaskoczenie minęło, pomodliłem się za duszę zmarłego. Zamknąłem drzwi na klucz, jak zwykle zostawiając go w zamku, zdjąłem wieko trumny z łóżka i poszedłem spać. Rano obudziło mnie chrobotanie klucza w zamku. Ktoś bezskutecznie próbował od zewnątrz drzwi otworzyć.

– Chwileczkę, zaraz otworzę! – krzyczę.

Zapadła cisza, otwieram drzwi i widzę bladego jak ściana syna państwa Witkowskich, pana Jerzego, który był znanym w Piasecznie fryzjerem.

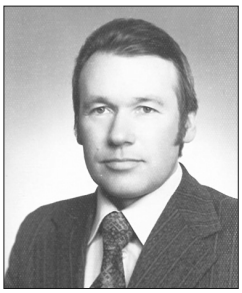
– Panie Heniu – mówi – ja myślałem, że to ojciec z trumny wstaje. Pan tu spał? Nie bał się pan?

– Żywych trzeba się bać, nie martwych – odpowiedziałem.

Myślę, że gdyby mury tego domu umiały mówić, to niejedną historię śmieszną, czy smutną mogłyby opowiedzieć.

Gdy w 1964 roku, we wrześniu założyłem rodzinę, zamieszkaliśmy z żoną w zajmowanym przeze mnie pokoju na parterze, tutaj spędziły pierwsze lata dzieciństwa nasze dzieci Beata i Ireneusz. W ich wychowaniu pomagała nam pani Maria Witkowska, osoba dobrego serca i wielkiej wiary, dzięki pani Marii mogliśmy z żoną zająć się pracą zawodową. Dzieci często chorowały, zapadały na alergie, bo budynek był zawilgocony, bez wentylacji. Pani Maria opowiadała, że ten teren był dawniej bardzo podmokły, nawet nazwa ulicy Żabiej wzięła się właśnie z tego powodu.

Z domu przy Kilińskiego wyprowadziliśmy się w 1972 roku. W następnych latach kilku starszych lokatorów domu odeszło z tego świata, wśród nich i pani Maria, pozostali, tak jak my przeprowadzili się do nowych mieszkań. Budynek stojący niemalże w centrum miasta został pusty a od jakiegoś czasu jest wystawiony na sprzedaż. Teraz, kiedy przechodzę obok niego łza kręci mi się w oku, gdy patrzę na dom, który popadł w ruinę. Mimo różnych trudności dobrze wspominamy tamte lata, bo rodziny żyły w zgodzie, a ludzie byli dla siebie życzliwi.



Henryk Kozłowski

Irena Krawczyńska_Layout 1 2016-12-28 09:10 Strona 41



Niusia Markowska, rok 1950.
Fot. E. Renau, Piaseczno, ul. Sienkiewicza

Wspomina Irena Krawczyńska

Duszą miasta są ludzie

Całe moje zawodowe życie związane było z handlem. Najdłużej, bo dwanaście lat, pracowałam w sklepie monopolowym przy ulicy Sierakowskiego. Sklep mieścił się w niewielkim lokalu na parterze kamienicy pani Paprockiej, kierowniczką była pani Jadzia Biernacka.



Budynki przy ulicy Sierakowskiego.

Fot. archiwum prywatne

Lubiłam pracę w sklepie, chociaż fizycznie trzeba było się dobrze napracować, jak to w handlu. Najtrudniej było przy rozładowaniu towaru. Skrzynki ustawiano po dwanaście, jedna na drugiej, najcięższe były drewniane, w których mieściło się trzydzieści butelek, najpopularniejszego krajowego wina owocowego po 0, 75 litra każda. Do takiej pracy najwygodniejsze były spodnie i jakaś bluzka, na elegancję nikt nie patrzył. Na ubranie zakładałyśmy zapinane na guziki stylonowe fartuchy bez rękawów, na nogach musiały być obowiązkowe płócienne buty wyglądające jak trzewiki, sznurowane, z wyciętymi czubkami. W razie kontroli z *Sanepidu* za ich nienoszenie dostawało się karę.

Z panią Jadzią przeżyłyśmy obwiązujący od 1982 roku wieloletni system kartkowy. Do obowiązków ekspedientek doszły wtedy wycinanki i wyklejanki. Klient podawał kartkę oficjalnie nazywaną bonem żywnościowym, nożyczkami wycinałyśmy odpowiedni kwadracik, wrzucałyśmy

do pudełka, a po zamknięciu sklepu skrupulatnie wszystko naklejałyśmy na płachtę papieru. Trzeba było przy tym uważać, bo obowiązywały różne rodzaje kartkowych przydziałów zależne od wieku i zawodu. Były też tzw. zamienniki: np. za kartkę na wódkę albo papierosy można było kupić butelkę wina importowanego, przy czym trzeba było pamiętać, za ile paczek papierosów tej zamiany można dokonać. Żaden kwadracik nie mógł się zgubić, bo w każdej chwili można było spodziewać się komisji kontrolującej, czy ilość karteczek zgadza się z ilością sprzedanego alkoholu. Przez jakiś czas reglamentacją objęte było także to najtańsze wino owocowe nazywane *patykiem pisane* albo *jabolem*. To wtedy wzrosło zainteresowanie surowcami wtórnymi, bo za dziesięć butelek po winie w punkcie skupu wydawano paragon upoważniający do zakupu dodatkowej jednej butelki wina. W tym samym roku co kartki wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholi wysokoprocentowych przed godziną 13.00. Kartki na alkohol zniesiono w 1983 albo 84 roku, ale nadal nie można było sprzedawać nieograniczanej ilości butelek i wciąż obowiązywała godzina 13.00.

Ludzie szybko nauczyli się radzić sobie z tymi utrudnieniami. Świetnie prosperowały tzw. *mety*, gdzie można było nielegalnie kupić alkohol. Na potęgę pędzono bimber, załatwiając sobie w różny sposób kupno cukru, który też był na kartki. W kolejkach, które od samego rana ustawiały się przed sklepem kwitło życie towarzyskie. Wszyscy się znali, a jeśli pojawił się ktoś obcy, szybko wrastał w kolejkową społeczność.

W Piasecznie było wtedy kilka sklepów monopolowych i wszystkie były oblegane. Dzisiaj chyba trudno sobie wyobrazić, ile alkoholu ludzie wtedy kupowali. Przywożono nam towar samochodem ciężarowym z przyczepą i połowa dostawy znikała jednego dnia. Czasem bywało groźnie, gdy tłum napierał na drzwi sklepu i na siebie wzajemnie. Kiedyś wyszłam na schodki i mówię, żeby się uspokoili, nie naciskali na drzwi, bo mogą je wyrwać. Ci, co byli najbliżej odsunęli się trochę, ale napierali na nich ci z tyłu. To było dwieście, może nawet trzysta osób. Nad schodkami do naszego sklepu miał balkon jeden z lokatorów domu, pan Lewiński. I on, żeby mi pomóc, z balkonu wiadrami zimną wodę wylewał na klientelę.

Po zamknięciu sklepu, a czynny był do godziny 18.00, podliczało się kasę i trzeba było pieniądze odnieść do banku, który był w kamienicy państwa Rowińskich przy ulicy Kościuszki. Napychałam kieszenie plikami banknotów, zawieszałam sobie na szyi ciężki od pieniędzy worek, podobny do szkolnego tylko trochę mniejszy, i szłam do tego banku. Ale nie bałam się. Z własnej inicjatywy odprowadzali mnie panowie z Nadarzyńskiej, bo przecież ja byłam z tej samej ulicy. Obok banku była w podwórku masarnia, wjazd był od strony Czajewicza, a w ogrodzeniu od strony banku była furtka. Moje anioły z Nadarzyńskiej stawiały przy furtce *czujkę*, żeby nic złego mnie nie spotkało. I jak tu nie kochać ludzi z Nadarzyńskiej?

To była wyjątkowa społeczność. W kamienicach z czerwonej cegły, w parterowych domach mieszkali obok siebie zacni ludzie i szemrane towarzystwo, były przyjaźnie, kłótnie, bójki - jak w życiu, a jednocześnie obowiązywała solidarność i swoisty kodeks honorowy.

W większości budynków do mieszkań od frontu wchodziło się po kilku schodkach prosto z ulicy. Wiosną, latem i jesienią przy ładnej pogodzie na schodkach zawsze ktoś siedział, gdy szło się ulicą z każdym trzeba było się przywitać, chwilę porozmawiać, bo wszyscy się znali. Te miejsca, doskonałe do prowadzenia całodziennych obserwacji oraz towarzyskich pogaduszek, zniknęły w latach pięćdziesiątych, gdy zlikwidowano wejścia od ulicy wybijając w mieszkaniach drzwi na klatki schodowe.



Piaseczno, lata czterdzieste XX w., po lewej: Witold Markowski – ojciec Ireny, po prawej: Wacław Dąbrowski
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej

Rodzina mojego ojca na Nadarzyńskiej mieszkała już w czasie międzywojennym. Przy ulicy były wtedy dwie kuźnie. Jedna należała do wuja Dąbrowskiego, stała po nieparzystej stronie ulicy pod *piątką*. To był duży, wolno stojący w podwórku budynek z wejściem od strony ulicy. Za czasów mojego dzieciństwa w drewnianym domu stojącym obok kuźni mieszkali państwo Siejkowie. Pani Siejkowa, córka wujostwa Dąbrowskich, była osobą pedantyczną, niezwykle schludną. Już sień w ich domu była wysprzątana tak, że bałam się w bucikach wchodzić, żeby nie pobrudzić czyściusieńkiej podłogi. Ale pani Siejkowa zawsze mówiła: *Wchodź, Niusieńko, nie przejmuj się tak*. Ci państwo przeżyli ogromną tragedię, bo w latach pięćdziesiątych ich jedyny syn został zastrzelony na ćwiczeniach w wojsku.

Właścicielami drugiej kuźni pod *dziesiątką* byli państwo Szmitowie, Niemcy z pochodzenia. To była zamożna rodzina, obok kuźni stał ich dom. W podwórku była przybudówka dla służby, stajnia, do tego mieli pola przy Nadarzyńskiej i w Starej Iwicznej.

Przed wojną ojciec uczył się swojego rzemiosła w szkole zawodowej i jednocześnie chodził na praktyki do swojego wuja i do pana Szmita. Po skończeniu szkoły ojciec za namową pana Szmita wybrał pracę u niego. Widać zaskarbił sobie życzliwość rodziny Szmitów, bo gdy w 1945 roku wyjechali do Niemiec, kuźnię i dom przekazali mojemu ojcu.

Kuźnia i dom wyróżniały się od innych budynków przy Nadarzyńskiej. Miały szklane drzwi w metalowej konstrukcji zamykane od zewnątrz okiennicami, okna w domu były podwójne – otwierane na zewnątrz i do środka, miały oberlufty (lufciki w górnej części okna) a od ulicy zamykane były okiennicami jak drzwi. Wszystkie budynki były porządnie zbudowane, nigdy nie było w nich wilgoci, mimo że Piaseczno położone jest na bardzo podmokłym terenie. Pamiętam, gdy w latach pięćdziesiątych przeniesiono bliżej ulicy Dworcowej tartak, który był na rogu ulic Kościuszki i Nadarzyńskiej, a na jego miejscu postawiono blok mieszkalny. Fundamenty jakie wtedy kopano miały głębokość trzech czwartych wysokości budynku!

Irena Krawczyńska_Layout 1 2016-12-28 09:10 Strona 44



Ulica Nadarzyńska, widok na „mały targ" i ulicę Kościuszki koniec lat 60. XX wieku.
Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Kuźnia była dobudowanym do ślepej ściany *ósemki* jednospadowym budynkiem z olbrzymimi wrotami od ulicy. W kącie przy wejściu był mały kantorek, który pełnił rolę biura. W rogu kuźni stało palenisko, przed nim duże kowadło, z lewej strony była kotlina do hartowania rozgrzanego metalu.

W domu zajmowaliśmy pokój z kuchnią na parterze i mały pokoik na piętrze. Okna naszego mieszkania wychodziły na kuźnię, mama sadzała mnie i Jurka, mojego starszego brata, w oknie i patrzyliśmy, co się w kuźni dzieje. Dla Jurka najbardziej interesujące było podkuwanie koni.

Ulica Nadarzyńska, skrzyżowanie z ulicą Czajewicza

Fot. Małgorzata Szturomska



Czasem trzeba było wcześniej konia odgwoździć, czyli obcęgami wyciągnąć uwierający gwóźdź, wyrównać kopyto dużym pilnikiem zwanym raszplą, wypalić rozgrzanym, metalowym szpikulcem dziurę po gwoździu i dopiero wtedy przybić hacelami (śruby wkręcane w zakończenia ramion podków) nowe podkowy. Ja uwielbiałam przyglądać się jak z metalowych prętów powstają ozdobne elementy ogrodzenia. Czasem pozwalano nam przebywać w kuźni i przyglądać się wszystkiemu z bliska. Jurek mógł wszędzie swobodnie chodzić, bo był grzeczny i spokojny, mnie na wszelki wypadek *uziemiano* w ustawionych jedna na drugiej oponach.

Obok nas, na parterze, mieszkali państwo Gruziewiczowie. Pod ich mieszkaniem było pomieszczenie służące jako lodownia. W dół prowadziły strome schody, bo lodownia znajdowała się dużo głębiej niż zwykłe piwnice. Z Tereską Grudziewiczówną schodziłyśmy po nich z duszą na ramieniu, ale dziecięca ciekawość była silniejsza niż strach. Na parterze mieszkał też pan Kurek, na którego wszystkie dzieci, nie wiedzieć czemu, mówiły „*dziadek*". Pan Kurek kopał i murował groby, jego córka, Lilka, była krawcową.

Na piętrze pokój z kuchnią zajmowali państwo Szymańscy, którzy mieli spore gospodarstwo. Państwo Szmitowie ich też lubili, bo przekazali im stajnię, stodołę i niewielkie pole przy Nadarzyńskiej. Pan Szymański dodatkowo dzierżawił ziemię pod uprawy i wyjeżdżając na pole często zabierał swoje córki: Elę, Krysię i najmłodszą Romę, a mama pozwała mi jeździć z nimi.



Piaseczno, lata sześćdziesiąte XX w., ul. Chyliczkowska, posesja państwa Kisielińskich, od lewej stoją: Felicja Szustkowska (w chusteczce na głowie), Niusia Markowska, Ola Wiśniakowska, Maria Markowska, Jan Szustkowski, Wanda Markowska, od prawej: Małgorzata Wiśniakowska (w białym płaszczu), Grześ Wiśniakowski, Wlodzio Szustkowski, Roma Szustkowska,
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej

Na samej górze mieszkali państwo Stasia i Tadeusz Kądzielowie z dziećmi: Markiem, Halinką, Adasiem oraz z matką pani Stasi. Państwo Kądzielowie żyli w trudnych warunkach, mieszkanie maleńkie, nierówne ściany, woda w studni, ubikacja na zewnątrz. Lokatorzy sami zaproponowali, żeby jeden z dwóch strychów przeznaczonych do wspólnego użytkowania państwo Kądzielowie zaadaptowali dla siebie jako drugi pokój, a potem, kto mógł przy remoncie pomagał.

Cała rodzina była bardzo uzdolniona muzycznie. Pani Stasia i pan Tadeusz wspaniale śpiewali w przykościelnym chórze, z siostrą pani Stasi, Stefą Wojciechowską, na moim ślubie wykonali *Veni Creator*. Dzieci też miały piękne głosy. Często stawały we trójkę w okienku na klatce schodowej, dzieciaki siadały na schodach i był koncert. Po latach Marek dawał prawdziwe koncerty, bo śpiewał w Zespole Pieśni i Tańca Mazowsze, a potem w Teatrze Opery Warszawskiej i Teatrze Narodowym.

Talent muzyczny miał też pan Niemirow. Mieszkał z rodziną w małym mieszkaniu od frontu kamienicy pod *dziewiątką* , pięknie grał na mandolinie, okna latem były pootwierane a sąsiedzi słuchali muzyki jak zaczarowani. Był bardzo zdolnym stolarzem, miał maleńki warsztat stolarski z tyłu budynku, wchodziło się do niego od ulicy Czajewicza. Córka państwa Niemirow, Maria

Ziółkowska, została znaną pisarką. Gdy umarła jej siostra dziadkowie wzięli osieroconą wnuczkę, Dorotę, do siebie na wychowanie.

Obok nas, pod *dwunastką*, był murowany budynek z dużą sienią, czterema izbami i dwuspadowym potężnym dachem krytym czerwoną dachówką - dom moich dziadków Markowskich. Dziadek Marceli był murarzem, budował m. in. stację piaseczyńskiej wąskotorówki, zmarł przed wojną. Babcia Weronika, krawcowa, wywodziła się z Górnych, miała siostrę, której mąż był kucharzem na okręcie *Batory*, przed wojną wypłynął w rejs do Ameryki i nie zdążył wrócić. Ciocia Kozerska zostawiła mieszkanie w Gdyni, przyjechała do Piaseczna i z synem mieszkała u babci.

Lokatorką, która mieszkała u babci już przed wojną, była pani Leokadia Saławiłow, doskonała krawcowa. W czasie wojny jakaś hrabianka z pałacu w Chyliczkach zamówiła u niej suknię ślubną nie żałując pieniędzy na świetny materiał, na koronki, tiule itd.. Pani Saławiłow uszyła suknię - marzenie. Gdy już wszystko było gotowe, jacyś panowie przyjechali wieczorem po odbiór. Podali dobre dane, wzięli arcydzieło sztuki krawieckiej i tyle ich widzieli. Panna młoda została bez sukni, a chora na serce pani Leokadia mało życiem nie przypłaciła tej kradzieży.

W domu babci wynajmowali pokój państwo Franciszka i Alojzy Pindelscy, którzy mieli dwóch synów. Pokój służył rodzinie jako sypialnia, a małą kuchnię, do której wchodziło się wprost z ulicy po niewysokich schodkach, mieli po drugiej stronie w domu pod dziewiątką. Spała tam siostra pani Pindelskiej. Pan Alojzy był piekarzem, pracował w Warszawie i gdy przyjeżdżał do domu wołał mnie, żebym przyszła po rogalika. Zawsze upominałam się o ciastko dla Jurka, które pan Alojzy z uśmiechem wyciągał zza pleców.

Pod *dziewiątką* mieszkali państwo Stefa i Tomasz Wojciechowscy z dziećmi Anią i Stasiem. Stasio, przezywany przez nas *Kindzior*, bo włosy miał gęste i kręcone, do spokojnych dzieci nie należał. Kiedyś chciał do nas przyjść i nie wpuściłam go do domu, bo byliśmy z Jurkiem sami. A *Kindzior* ze złości kamieniem wybił nam szybę w drzwiach wejściowych i w nogi! Niewiele myśląc wypadłam za nim, dogoniłam przed drzwiami jego domu, jak capnęłam za włosy i szarpnęłam, to chłopak przewrócił się i rozciął łuk brwiowy o metalowe zabezpieczenie brzegu schodów. W tym momencie drzwi się otworzyły i mama Stasia pyta, co się dzieje. Jakoś się wszystko wyjaśniło, szyba została wstawiona, ale długo ciągnęła się za mną opinia łobuziary.

Właścicielami dużego gospodarstwa pod *siódemką* byli państwo Mariańscy. Chodziłam do nich po mleko i któregoś dnia Witek, najstarszy z ich trzech synów, powiedział, że zbiera pieniądze, a jak już będzie miał dużo, to mnie od taty kupi i będę jego siostrą. Powiedziałam mu, że jest głupi i poleciałam do ojca zapowiedzieć mu, żeby mnie nie sprzedał. Ojciec obiecał, że tego nie zrobi, że z Witkiem pogada. Ale to mi nie wystarczyło! Ojciec zapracowany, zapomni i co wtedy będzie? Po drugiej stronie ulicy miał zakład wulkanizatorski przyjeżdżający z Warszawy, sympatyczny pan Salwowski i jego też poprosiłam o interwencję. Przestałam się bać Witkowej zapowiedzi dopiero, gdy ten pan obiecał, że z nim porozmawia. Z czasem zaczęliśmy kupować mleko od mieszkających pod *szesnastką* państwa Mirkowskich, którzy też prowadzili gospodarstwo. Pamiętam, że mieli nietypowy wóz w kształcie kwadratowej skrzyni na potężnych ogumionych kołach ciągnięty przez dwa dorodne konie. Gdy przychodziłam, pan Mirkowski często żartował: *Ty chyba będziesz moją synową*, co traktowałam zupełnie serio i odpowiadałam, że raczej nie, *bo pana syn jest dla mnie za stary*. Ja miałam wtedy dziesięć lat, a kandydat na męża, Edek, był trochę starszy od mojego brata.

W domu pod *trzynastką*, gdzie swój zakład miał pan Salwowski, mieszkali bardzo sympatyczni państwo Żebrowscy, mieli dwoje dzieci Ewunię i Witka, mieszkała też z dwoma synami pani Walawska, wysoka, dostojna, lubiąca dzieci. Zdaje się, że ta pani przyjechała do Piaseczna ze stolicy w czasie Powstania Warszawskiego lub po jego zakończeniu. W latach pięćdziesiątych lokatorów z parteru *trzynastki* wysiedlono. Państwo Żebrowscy dostali lokal w stojącym do dziś budynku przy ulicy Wojska Polskiego, a pani Walawska wróciła do Warszawy. Na ich miejscu władze gminy umieściły komendę milicji. Nie lubiłam przechodzić obok wcześniejszej siedziby komendy przy ulicy Kościuszki, bo tuż nad chodnikiem były okienka pomieszczeń więziennych znajdujących się w piwnicach budynku. Zdarzało się, że przez te okratowane okienka więźniowie machali do przechodniów.

W *trzynastce* dla milicjantów przygotowano pomieszczenia komisariatu i stołówkę, w której wygospodarowano kącik na sklep oddzielony od reszty pomieszczenia zasłonką. Wejście do komendy było od ulicy Czajewicza a do stołówki od strony Nadarzyńskiej. W tamtych czasach stołówki i świetnie zaopatrzone sklepy dla funkcjonariuszy milicji i służby bezpieczeństwa nazywano konsumami.

Zanim komisariat znalazł się przy Nadarzyńskiej parter budynku przeszedł gruntowny remont. Przede wszystkim doprowadzono wodę, na potrzeby komendy powstały toalety, była nawet łazienka z kabiną prysznicową i z tych luksusów mogli korzystać mieszkający nad komendą lokatorzy.

Ogromna większość mieszkańców Piaseczna o takich dobrodziejstwach cywilizacji mogła tylko pomarzyć. Zamiast toalet były drewniane ubikacje w podwórkach, zamiast kabiny prysznicowej albo wanny – metalowa micha albo balia, po wodę chodziło się z wiadrami do pompy, która nie zawsze była blisko domu. Do obowiązków moich i brata, gdy mieliśmy po kilkanaście lat, należało przynoszenie wody dziadkom Szustkiewiczom mieszkającym na poddaszu w kamienicy pana Gerbera przy rynku. Łapaliśmy wiadra i szło się na rynek do pompy przy budynku, w którym teraz mieści się *Przystanek Kultura*. Nawet dla nas, młodych, nie było łatwą sprawą wnieść wiadra pełne wody po stromych drewnianych schodach.

Dziadkowie Szustkowscy, zanim zamieszkali w kamienicy na poddaszu, przez lata zajmowali w magistracie pokój, w którym dziś wydają akty urodzenia, wtedy pomieszczenie było trochę większe. A wszystko dlatego, że pochodzącemu z Pęcher dziadkowi miasto imponowało. Dziadek Feliks i babcia Felicja z Dutkiewiczów z Warszawy, jako młode małżeństwo dostali od rodziców dziadka ziemię w Ustanowie, na której wybudowali dom. Już troje dzieci było na świecie, gdy dziadek umyślił sobie dom wynająć i w Piasecznie życie zacząć. Dostał posadę klucznika w magistracie i w tymże magistracie mieszkał z rodziną. Z czasem przenieśli się na drugą stronę ulicy do wynajętego w kamienicy państwa Gerberów mieszkania. Stąd mój wujek, Józef Szustkowski, wyszedł do Powstania Warszawskiego, wrócił z chorymi płucami, nigdy nie odzyskał zdrowia i zmarł mając zaledwie dwadzieścia sześć lat. Jego starszy brat, Jan, też był w Armii Krajowej, walczył w lasach chojnowskich, odniósł poważne obrażenia, które przez cale długie życie były bolesną pamiątką partyzanckiej przeszłości.

A na Nadarzyńskiej mimo obecności milicjantów szemrana elita mojej kochanej ulicy nadal wystawała w bramach trzech kamienic, pod *czwórką, szóstką i ósemką*. Bramy, jak to w przedwojennych kamienicach, były ciemnawe z wilgotnym chłodem, z echem kroków i głosów odbijającym się od ścian i sklepienia.

Irena Krawczyńska_Layout 1 2016-12-28 09:10 Strona 48

Ulica Nadarzyńska, brama domu pod nr 6.
Fot. Małgorzata Szturomska



Ósemka znana była z tego, że mieszkali w tym domu państwo Czerniszewscy. Mieli czterech synów, trzech było rudawych i piegowatych jak matka, tylko jeden Włodek po ojcu miał ciemne włosy. Mieszkali na parterze i na ulicę wychodzili najczęściej przez okno, bo tak było szybciej. Wolałam wędrować drugą stroną ulicy niż pod ich oknami przechodzić, bo bałam się, że któryś nagle wyskoczy. Przejście przez bramę też napawało mnie lękiem, bałam się Czerniszewskich i obydwu synów pani Szwetnerowej, choć tylko jeden był łobuziakowaty. Trudno mi było jednak pod *ósemkę* nie chodzić, bo tam miałam koleżankę Krysię Kołodziejczyk i tam mieszkali państwo Przystańscy, którzy jako jedni z pierwszych na naszej ulicy kupili telewizor. Pani Przystańska zapraszała mnie na wspólne oglądanie serialu *Pies Baskerville'ów*, a ja zgadzałam się przyjść pod warunkiem, że ktoś później odprowadzi mnie do domu. Od czasu do czasu zapraszała mnie do siebie na pogaduszki pani Janeczka Ziemnicka, która długo mieszkała w Ameryce. Budziła zainteresowanie, bo ubierała się inaczej niż wszyscy. W podwórku w oficynce mieszkała pani Ciborowska, starsza, samotna pani, miała działeczkę, na której hodowała warzywa na sprzedaż. Ludzie byli wtedy zaradni - takie działki ciągnęły się za domami stojącymi po prawej stronie ulicy aż do *Perełki* i kto z mieszkańców mógł, to wykorzystywał je pod uprawę warzyw, a przy tym niejeden w komórce na podwórku świniaka chował. Moja babcia też miała taką działeczkę, ale dziadkowie wydzierżawili ją panu Różyckiemu.

Pan Różycki, ich sąsiad, miał nieduży warsztat ceramiczny. Rzucał na koło garncarskie pacynę gliny, rękoma formował piękne kubeczki, wazoniki, doniczki i zdobił je rysując patyczkiem wzory. Naczynia schły na powietrzu, a potem były wypalane. Jako trochę podrośnięte dzieciaczki mieliśmy frajdę, bo układaliśmy je w piecu warstwa na warstwie. Była zabawa i jeszcze parę groszy na cukierki dostaliśmy. Posesja była zadbana, pan Różycki, jako jedyny na ulicy, przed Wielkanocą piaskiem chodnik posypywał.

Ponieważ działka była wydzierżawiona babcia nieraz wysyłała mnie do pani Ciborowskiej po warzywa. Zawsze wtedy marudziłam, żeby Jurek ze mną poszedł, ale najczęściej szłam sama. Na szczęście, w tym domu mieszkał brat mojej babci, wujek Piotr Górny z ciocią Zofią. Wujek był niewysoki, miał piękne, bujne włosy i był szewcem. Gdy wchodziłam do bramy wiedząc o moim lęku stawał na balkonie i jego obecność dodawała mi otuchy. Chyba nawet z Czerniszewskimi przeprowadził poważną rozmowę, bo pewnego dnia zaczepili mnie pytając, dlaczego

się ich boję, przecież oni nic złego mi nie zrobią. Doszło do tego, że w ramach opieki nad dzieckiem przeprowadzali mnie przez ulicę.

Kamienica pod *szóstką* należała do państwa Kazubków, do nich należał rownież teren na rogu ulic Czajewicza i Nadarzyńskiej, gdzie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były magazyny pilnowane przez uzbrojonych żołnierzy. Pan Kazubek miał też stawy za Nadarzyńską i tam były najlepsze karpie, były raki, które ojciec łapał i przynosił do domu w metalowym wiaderku. Zimą jeździliśmy na łyżwach po zamarzniętych stawach, dzieci państwa Kazubków też przychodziły. Mało kto miał łyżwy z butami, najczęściej przykręcało się je do trzewików, niejeden obcas złamał się przy zabawie, ale byliśmy szczęśliwi.



Piaseczno, lata pięćdziesiąte XX w., nad Jeziorką, stoją od lewej: Niusia Markowska, Kazik Krawczyński, Zosia Sychowiczowa, Zbyszek Jóźwiak z żoną Marysia, siedzą od lewej: Wal-dek Kapusta, nn
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej

Kazubkowie w Piasecznie mieli różne przydomki: *Śpiewaki*, *Buldoki*, a na pana Kazimierza mówiono *Mrygawka*. To była zamożna rodzina, mieszkali w pięknym dworku przy ulicy Kościelnej, która po wojnie nazywała się 22 lipca, a teraz Jana Pawła II, dzisiaj w tym miejscu stoją bloki. W ich domu była służąca, była opiekunka do czworga dzieci: Zosi, Maćka, Marysi i Janeczki. Moi rodzice byli zapraszani przez panią Polę i pana Kazia, zawsze wysyłano wtedy po nas bryczkę, dla mnie i brata taka przejażdżka była wielką atrakcją. Ojciec, chcąc zrobić nam przyjemność czasem zamawiał pana Roszkiewicza, który miał duże gospodarstwo przy ulicy Sienkiewicza, żeby nas swoją bryczką po mieście powoził. Jurek zawsze siadał na koźle, a ja na kanapie.

W bramie kamienicy pod *szóstką* rządzili bracia Trojanowscy. Wystarczyło przejść obok bramy chodnikiem, by przeżyć przygodę, o czym przekonała się niejedna osoba. W latach sześćdziesiątych Jurek służył w kompanii reprezentacyjnej w Warszawie i często na przepustki przyjeżdżał z kolegami, tamtego dnia również. Obydwaj z kolegą byli w mundurach, bo wtedy nie było możliwości, by na przepustkę w cywilnym ubraniu jechać. Pech chciał, ktoś Jurka zagadał, a kolega, znając drogę, wolniutko szedł w kierunku naszego domu. Z bramy pod szóstką wyskoczyło kilku naszych, wśród nich Rysiek Trojanoszczak i zaatakowali chłopaka. Jurek w krzyk: Zwolnij, Rysiek, to mój kolega! W tym samym momencie wyskoczył z bramy starszy brat Ryśka, ucapił go za gardło i mówi: *Co wychodzisz przed szereg! To Jurka kumpel!*. No, ale Jurek był swojak, przy tym znany w mieście piłkarz.

Dla mojego brata piłka nożna zawsze była ważna, czasem nawet nauka z nią przegrywała. Już w podstawówce był w reprezentacji szkoły, później, tak jak mój mąż, Kazik, grał w piaseczyńskim klubie, jego trenerem był sam Ryszard Kulesza a na początku lat sześćdziesiątych został zawodnikiem I-ligowej Gwardii Warszawa. Nic dziwnego, że wśród chłopaków z Nadarzyńskiej miał poważanie.

Piaseczno, lata sześćdziesiąte XX w., drużyna piłkarska na boisku, od lewej stoją: Miecio Bieńkowski, Stefan Zulczyk, Waldek Olczak, Antoś Stężycki, Kazio Krawczyński, od lewej ssiedzą: Witek Pawelski, Ziutek Marczak, Stefan Zembrzucki, Waldek Kapusta, nn
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej





Piaseczno, Pierwsza połowa lat pięćdziesiątych, drużyna piłkarska
w rzędzie pierwszym od lewej stoją: Mietek Bieńkowski, Gienio Chodasz, Kazio Krawczyński, Stefan Zembrzuski, Grzesio Zieliński, Ryszard Kulesza, Stefan Więcławski, bramkarz Jurek Sochacki, nn,
w rzędzie drugim od lewej stoją: nn, Antoś Stężycki, nn Janusz Witkowski, Janusz Różycki, Stasio Wojciechowski, Jasio Korycki
w rzędzie trzecim od lewej: Kazio Kazubek, nn, nn, Stasio Milewski, Witek Pawelski, Norbert, Januszewski
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej

Mała Niusia, na wszelki wypadek bramę pod *szóstką* wolała omijać z daleka, chociaż prawdę mówiąc, nie miała ku temu żadnych powodów. Często musiałam strach pokonywać, bo w tej kamienicy miałam dobre koleżanki i serdecznych przyjaciół wśród dorosłych.

Byli państwo Zaorscy, którzy mieli sześcioro dzieci, pan Zaorski był piekarzem. To nie był zasobny dom, ale zadbany i gościnny. Pani Zaorska wołała swoje dzieci na obiad to i nas, gdy razem się bawiliśmy, zapraszała. Jak nam wszystko smakowało w tej gromadzie, byle jaka zupa, czy pieczony w popielniku kartofel. Następnego dnia babcia zawsze mówiła: *Będziecie razem ze szkoły wracać, zaproście ich na obiad do nas.*



Piaseczno, początek lat sześćdziesiątych XX w., od lewej: Józek Marczak, Niusia Markowska, Sławek Leśniewski, nn, Stefan Zembrzucki
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej

Pan Kazubek był szewcem, jego żona nie pracowała, mieli dwoje dzieci Irmę i Michała, oboje bardzo fajni, rodzice dopilnowali, by zdobyli dobre wykształcenie. Gdy szłam ulicą, a pan Kazubek akurat był na balkonie, zawsze wypytał, czy nikt mi nie dokucza. Byli państwo Werlichowie, którzy ciężko pracowali na stacji przeładunkowej, mieli kilkoro dzieci, a wszystkie śliczne jak marzenie.

Na parterze mieszkała pani Wągrodzka, starsza pani, chyba samotna. Gdy tylko uchyliła okienko od mieszkania to łobuziaki z kamienicy piguły błota albo śniegu wrzucali do środka. No i mieszkali tam państwo Zalewscy, a ich Ewunia była moją kochaną koleżanką. Bawiłyśmy się lalkami, wózkami i razem chodziłyśmy na zajęcia taneczne do kolejarskiej świetlicy przy stacji wąskotorówki. Jeszcze do szkoły nie chodziłam, gdy zorganizowano tam grupę baletową dla dziewczynek i babcia mnie zapisała, bo świetlica była otwarta także dla dzieci z miasta. Z Nadarzyńskiej chodziła też Janeczka Werlichówna, Wiesia Siwek, Ewunia Zalewska. Tańca uczyła nas pani Jaworska, pani Zamecka grała na fortepianie a ćwiczyłyśmy przy drążkach umocowanych do ścian świetlicy. Miałyśmy szyte na miarę ubranka, piękne, sznurowane pod kolanko czerwone buciki, w których tańczyłyśmy mazura, z występami wyjeżdżałyśmy do Łącka a nawet do Warszawy. Kochałyśmy te zajęcia, każda starała się jak najpiękniej tańczyć, ale najzdolniejsza była Ewunia, za co ją szczerze podziwiałyśmy.

W kamienicy pod *czwórką* mieszkali państwo Wilkowscy, bardzo ciężko pracowali na przeładunku na szerokich torach. Mieli czterech nygusów, którym matka urządzała ostrą musztrę, ale w żadnym stopniu nie łagodziło to ich temperamentów, jeden nawet oko stracił w bójce na siekiery. Brama *czwórki* była dla nich chyba drugim domem.

W tym samym domu mieszkali państwo Dąbrowscy. Pan Dąbrowski był szewcem, mieli syna Bogusia i piękną córkę Jagodę, elegancka, o wspaniałej figurze dziewczyna, mówiono o niej *lalka*. Państwo Berensowie byli zasiedziałymi lokatorami *czwórki* jeszcze z czasów przedwojennych. To byli bezdzietni ludzie i tak się stało, że żydowska rodzina wyjeżdżająca z Polski na początku lat pięćdziesiątych zostawiła im na wychowanie córeczkę, Reginę, którą bardzo troskliwie się zajęli. Na rogu domu, na parterze był znany w mieście magiel pani Kaczmarskiej. Chodziłam tam z babcią i uczyłam się kręcić wałkiem, układać bieliznę. Pani Kaczmarska była piękną kobietą, miała wspaniałe włosy, była mądra i dobra, ale prawie się nie uśmiechała. Może dlatego, że nie głaskało ją życie po głowie.

W latach pięćdziesiątych podstawówka przy Świętojańskiej była bardzo przeładowana, bo uczyły się w niej dzieci z Piaseczna, Żabieńca, Stefanowa, Chojnowa. Żeby trochę poprawić sy-

tuację część pomieszczeń w budynku liceum przy Chyliczkowskiej przeznaczono dla podstawówki, ale dzieciaki z Nadarzyńskiej tak jak dotychczas biegały do szkoły na Świętojańską. Nie narzekaliśmy – w szkole bardziej liczyła się atmosfera niż warunki, które wówczas traktowaliśmy jako rzecz normalną.

Piaseczno, Maria i Witold Markowscy - rodzice
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej



Moją wychowawczynią w klasach młodszych była polonistka pani Zofia Eder, jej siostra Jadwiga uczyła w tej samej szkole geografii. Pani Zofia Ederowa była niepełnosprawna, utykała na prawą nogę, a mimo to organizowała nam wiele wycieczek, nawet nad morzem byliśmy i płynęliśmy statkiem. Od klasy piątej wychowawstwo przejęła pani Zofia Wróblewska, też polonistka. Matematyki uczył nas Józef Reszczyński, a w starszych klasach pani Anna Korasowa. Przygotowali mnie do dalszej nauki tak, że do liceum przy Chyliczkowskiej dostałam się bez egzaminów.

Gdy zaczynałam naukę w liceum kierownikiem szkoły była pani Andryszczak, bodajże w następnym roku zastąpił ją pan Tadeusz Tokarski. Co poniedziałek mieliśmy apel, klasami ustawialiśmy się na parterze. Cisza wtedy była taka, że słychać było, jak obcasy pantofli pani Andryszczak o podłogę stukają, gdy schodziła do nas z pokoju nauczycielskiego, ale za czasów Tokarskiego to słyszało się przelatującą muchę.

Na pana woźnego mówiliśmy *Gerwazy*, bo zawsze z pękiem kluczy chodził jak bohater *Pana Tadeusza*. Też trzymał dyscyplinę. Do szkoły wchodziliśmy głównym wejściem, ale do szatni w piwnicach można było przejść tylko po chodniku położonym na podłodze z klepki. Pan woźny bacznie nam się przyglądał i wiedzieliśmy, że za nieposłuszeństwo można było przez plecy pękiem kluczy dostać.

Bez gadania zakładaliśmy obowiązkowe fartuszki z białym kołnierzykiem. Gdy któraś z dziewcząt spróbowała przyjść do szkoły w delikatnym makijażu od nauczycieli słyszała: *Idź do łazienki, wymyj się*. Brat w tym czasie wyjeżdżał za granicę ze swoją drużyną piłkarską i zawsze coś z ciuchów mi przywiózł w prezencie. Kiedyś była to niebieska, śliczna bluzeczka polo. Założyłam ją i trochę bardziej rozpięłam pod szyją guziczki fartucha, jeden z nauczycieli zwrócił mi dyskretnie uwagę, żebym nie afiszowała się w szkole z pięknym ciuszkiem, bo jest to niestosowne wobec uczennic, które takich rzeczy nie mają.

Naszym wychowawcą i polonistą był pan Tadeusz Trzeciak, nauczyciel z powołania, oddany swoim uczniom i pracy pedagog. Młodzież była wtedy bardziej zdyscyplinowana niż dzisiaj, ale i nam chciało się czasem zrobić coś zakazanego. Był koniec drugiej klasy, stopnie wystawione,

pogoda piękna i ktoś rzucił hasło: *wagary!* Trzy czwarte klasy, w tym i ja, pomysł podłapało i jak najciszej, żeby nie zwracać na siebie uwagi poszliśmy do szatni, stamtąd bocznym wyjściem na Chyliczkowską i w nogi. Tymczasem nasz pan profesor, albo sam się zorientował, albo dowiedział się od kogoś, że jego uczniom wagarów się zachciało i na rowerze ruszył za nami w pościg. Lecimy przez Pólko zziajani, spoceni, śmichy-chichy cały czas, już mamy zejść z szosy i zapaść w krzaki nad Jeziorką, gdy ktoś krzyknął: *Trzeciak za nami na rowerze!* Pan Trzeciak podjechał, rzucił rower na ziemię, stanął przed nami i z goryczą w głosie powiedział: *Świnie jesteście*. Musiała go nasza ucieczka mocno zaboleć, bo zawsze odzywał się do uczniów niezwykle kulturalnie. Kary nie było, ale nasłuchaliśmy się od wychowawcy tłumaczenia, o tym jak nierozsądny i nieodpowiedzialny był nasz postępek.

W pierwszej klasie pan Trzeciak nie tylko uczył nas języka polskiego, ale prowadził lekcje wychowania technicznego. Uczyliśmy się podstaw majsterkowania - na przykład skręcaliśmy lampki elektryczne. W klasie drugiej chłopcy nadal mieli zajęcia z panem Trzeciakiem a dziewczyny pod opieką pani Makowskiej uczyły się gotowania. W podziemiach szkoły obok szatni była sala z kuchenkami gazowymi, wyposażona w sprzęt kuchenny i robiłyśmy makarony, ciasta, pierożki, zupy, uczyłyśmy się nakrywać do stołu.

Wychowania fizycznego uczyło nas wspaniałe małżeństwo Ola i Andrzej Fuskowie. To oni powołali do życia wiele sekcji sportowych. Ja wybrałam piłkę ręczną, w drużynie byłam m. in. z Elą Bujską obecnie Rutkowską, Zosią Ożyńską. Gdy państwo Fuskowie zaczynali pracę w szkole nie mieli mieszkania. Na długi czas ich domem stał się magazynek na sprzęt sportowy przy sali gimnastycznej. Najpierw mieszkali tam sami a potem z pierwszym dzieckiem, Wojtkiem.

Trzy lata w liceum minęły nie wiadomo kiedy i nadeszła klasa maturalna, z nią egzaminy ale też studniówka i bal maturalny. Zgodnie z panującymi wówczas zasadami wszystko odbywało się w szkole na sali gimnastycznej. Na studniówce obowiązywał strój biało-granatowy, salę ustroiliśmy sami, do picia była oranżada od pana Grabowskiego, rodzice zadbali o półmiski pełne frykasów, ale dla nas ważniejsze było, żeby się wytańczyć i wyszaleć. Potem matura – na sali poustawiane w rzędach stoliki, ubranie eleganckie, też biało-granatowe. Ściąganie czy wnoszenie ściągawek na salę groziło unieważnieniem matury, ale ja przyniosłam komuś, nie pamiętam komu, rozwiązanie zadań z matematyki. Karteczkę dostałam w łazience, umocowałam pod zapinką od pasa do pończoch, w sali troszkę się pokręciłam na krześle i jakoś tę ściągę wyciągnęłam.



Maria Markowska (matka Ireny Krawczyńskiej) lata pięćdziesiąte XX w.
Fot. archiwum Ireny Krawczyńskiej

Irena Krawczyńska_Layout 1 2016-12-28 09:10 Strona 54

Jestem z natury pogodna, lubię ludzi. Miałam wielu znajomych na osiedlu przy Szkolnej, gdzie mieszkaliśmy z rodziną dwanaście lat, znam dobrze moich obecnych sąsiadów z ulicy Chopina. Wszystkich cenię, lubię, szanuję, ale tęsknię za ludźmi z dawnego Piaseczna. Za tymi, którzy po niedzielnej mszy zatrzymywali się przed kościołem, żeby przywitać się, porozmawiać, umówić na popołudnie – najpierw jako dzieci, potem młodzież, z czasem jako ludzie dorośli z mężami, żonami, własnymi dziećmi. Jest nas coraz mniej, a mam wrażenie, że wśród obecnych mieszkańców Piaseczna nie ma aż takiej więzi, takiego poczucia bliskości i wspólnoty, że trzeba lat, aby napływowi ludzie zapuścili tu korzenie i poznali duszę naszego miasta.



Irena Krawczyńska

z domu Markowska

LAMINA_Layout 1 2016-12-28 09:14 Strona 55

Wspominają Tadeusz Ładziński
Henryk Kozłowski
Andrzej Zawiślak

Na trzy głosy opowieść o Laminie

Zaczęło się od górnictwa i geologii

W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku Piaseczno było spokojnym, sennym miasteczkiem. Prowadząca do stolicy ulica Puławska tak jak dziś zaczynała się od Rynku, po jej prawej stronie stało kilka kamienic, za ulicą Młynarską ciąg zabudowań zamykała kuźnia, dalej rozciągały się sady i pola. Krajobraz zaczął zmieniać się w 1954 roku, gdy w Iwicznej, wśród tych pól i sadów, pobudowano halę pierwszego piaseczyńskiego przedsiębiorstwa przemysłowego – Zakładów Remontowych Maszyn i Urządzeń Wiertniczych. Dwa lata później kolejne tereny uprawne przeznaczono pod budowę Zakładów Kineskopowych Zelos. W obydwu zakładach pracowali przede wszystkim ludzie z bliższych i dalszych okolic Piaseczna. Część z nich sama szukała tu zatrudnienia, część dostawała obowiązujący w tamtych czasach nakaz pracy.

O tym, że w 1955 roku ze swojej rodzinnej miejscowości leżącej w okolicach Białej Rawskiej Tadeusz Ładziński przyjechał do Piaseczna zdecydowała jedna rodzinna wizyta. Po szkole podstawowej Tadeusz miał zdawać do technikum w pobliskich Skierniewicach, ale okazało się, że mogą być problemy z utworzeniem klasy, bo kandydatów było niewielu. Akurat przyjechała z wizytą rodzina z Piaseczna. Wujek, Edmund Skrzeszewski, który był kierownikiem warsztatów w Szkole Zawodowej, powiedział: *Dajcie chłopaka do nas*. Tadek uczył się więc w piaseczyńskiej zawodówce, a po jej ukończeniu otrzymał nakaz pracy do Zakładów Remontowych Maszyn i Urządzeń Wiertniczych w Iwicznej. Był rok 1957.

Rodzinną miejscowością Henryka Kozłowskiego jest Dziecinów leżący po prawej stronie Wisły, naprzeciwko Góry Kalwarii. W latach pięćdziesiątych brzegi rzeki łączył jedynie most kolejowy i tym mostem, wąskim przejściem wydzielonym wzdłuż torów, Henryk jeździł na rowerze do Góry, do szkoły zawodowej. Niemal równocześnie ze świadectwem jej ukończenia dostał nakaz pracy do Zakładów Remontowych Maszyn i Urządzeń Wiertniczych w Iwicznie. Był rok 1957.

Narodziny Laminy

Gdy Tadek i Heniek zaczynali pracę, Zakłady składały się z jednej dużej hali, w której produkowano i remontowano urządzenia dla geologii i górnictwa oraz z szeregu drewnianych baraków, w których mieściły się biura, przychodnia przyzakładowa i hotel robotniczy z kilkuosobowymi pokojami. Załoga liczyła około stu osób. Pracy było dużo, ale zarobki dobre, pracownicy dostawali deputaty a do tego zakład podlegał pod ministerstwo górnictwa i Barbórka była obowiązkowa.

LAMINA_Layout 1 2016-12-28 09:14 Strona 56

– Przyznawano wtedy nagrody, premie, była wspólna impreza. W hali stawały stoły zastawione jedzeniem i piciem. Czasem do draki dochodziło. Kiedyś dyskusja między dwoma chłopakami była tak gorąca, że milicja musiała interweniować. Zabrali chłopaków na komisariat, zamknęli w jednej celi, żeby dać im czas na otrzeźwienie, a ci wykorzystali sytuację na dokończenie rozmów – wspomina Tadeusz.

Była hala, były baraki, brama ze strażnikiem, tylko ogrodzenia nie było. Były za to pola truskawek i w czasie dojrzewania owoców niejeden pracownik chyłkiem na dzierżawę chodził. Zdarzało się, że właściciel pola z motyką w ręku gonił amatorów cudzych truskawek.

Rozwój dobrze prosperujących Zakładów Remontowych został zatrzymany pod koniec lat pięćdziesiątych uruchomieniem przez władzę procesu deglomeracji przemysłu. Deglomerację stosuje się, gdy zakłady przemysłowe są zbyt skoncentrowane w jednym miejscu, przenosi się je wówczas do miejsc gospodarczo zaniedbanych. Proces powinien być doskonale przygotowany i wprowadzany wieloetapowo, ale w Polsce Ludowej kluczowe przedsiębiorstwa po prostu przenoszono z dużych miast do małych miejscowości.

I tak, w 1958 roku, pod Piasecznem powstały dwa zakłady wywiedzione z warszawskich Zakładów Budowy Maszyn Lampowych przy ul. Karolkowej. Zakłady Kineskopowe Zelos zmieniły nazwę na Zakłady Lamp Oscyloskopowych Zelos i przeniesiono do nich produkcję lamp oscyloskopowych i kineskopowych. Na miejscu Zakładów Remontowych utworzono Zakłady Lamp Nadawczych Lamina przeprowadzając do nich produkcję lamp nadawczych i mikrofalowych. Do Laminy przeszła wówczas grupa pracowników z Karolkowej, przewieziono też stamtąd dużo sprzętu.

– Utworzono specjalną brygadę, w której byli elektrycy, hydraulicy, ślusarze, bo trzeba było na Karolkowej urządzenia rozmontować, odłączyć od instalacji wodnej, elektrycznej, załadować na ciężarówkę, przywieźć do Laminy i wszystko zainstalować jak trzeba – wspomina Henryk.

Zakładowa codzienność

Przenosiny trwały pięć lat, w tym czasie stopniowo zakład rozbudowywano, powstawały nowe hale, budynek dla dyrekcji i administracji.

W połowie lat sześćdziesiątych nakaz pracy już nie obowiązywał i ludzie ściągali do Laminy z całej Polski. W 1966 roku na pracę w Laminie zdecydował się Andrzej Zawiślak. Piaseczno było jego rodzinnym miastem, tu mieszkał z matką i rodzeństwem, ale nie każdy miał, tak jak on, własne lokum. Dojeżdżano do Laminy z pobliskich miejscowości, jeżdżono z Garwolina, Grójca, z Warszawy.

Ogromna większość pracowników korzystała z popularnej ciuchci. Stacja kolejowa, tzw. Rozjazd, była tuż przy zakładzie i przed każdą zmianą wylewała się z pociągu masa ludzi, a kolejny pociąg zapełniali wychodzący z pracy. Wśród tych dojeżdżających był Henryk. Ze swojego Dziecinowa rowerem jechał przez niedawno pobudowany most kołowy do Góry Kalwarii, a stamtąd ciuchcią do pracy. Było jedno lato, gdy całą drogę pokonywał rowerem. Koledzy żartowali, że Heniek jeździ szybciej niż ciuchcia.

Pierwszym samochodem służącym do przewozu osób był produkowany gdzieś w Polsce Star z dorobioną nadbudówką, w której było miejsce dla piętnastu pasażerów.



Henryk Kozłowski, lata pięćdziesiąte XX w.
Fot. archiwum Henryka Kozłowskiego

– Popularnie mówiono o tym pojeździe *stonka*, ładny nie był, wygodny też nie, ale służył dobrze, nawet Urząd Gminy wypożyczał go na wycieczki – wspomina z uśmiechem Tadeusz.

Lamina rozrastała się. Teren został ogrodzony i do zakładu wchodziło się przez portiernię.
– Trzeba było wartownikom pokazać przepustkę, potem podbić kartę zegarową. Każdy pilnował się z tą kartą, bo spóźnialski musiał pisać oświadczenie podając powód spóźnienia, a recydywista nie dostawał premii – mówi Andrzej.

Potem należało przebrać się w robocze ubranie. Każdy pracownik miał swoją metalową szafkę na ubrania, były prysznice, umywalki, ściany wyłożone kafelkami.
– Kawalerka nieraz do pracy przyjeżdżała prosto z jakieś imprezy. Każdy miał w szafce ręcznik, maszynkę do golenia, człowiek zjawiał się w pracy z godzinę przed czasem, wskakiwało się pod prysznic, doprowadzało do porządku i dopiero szło na halę – wspomina Tadeusz.

Po pracy wszyscy przechodzili na portierni przez bramki kontrolne. Gdy zapaliła się czerwona lampka delikwenta lub delikwentkę poddawano kontroli osobistej.
– Do produkcji stosowano drobne elementy, które można było dobrze sprzedać, w magazynach było srebro w paskach, diody były miedziane a krążek takiej miedzi był drogi. To wszystko często ludzi kusiło. Inna rzecz, że było też marnotrawstwo, na złomowisku zakładowym poniewierały się dobre narzędzia – opowiada Henryk.

Na początku był Bocian

Tuż przy portierni, ale poza terenem zakładu, stał kiosk spożywczy prowadzony przez mężczyznę, na którego potocznie mówiono *Bocian*. Dość szybko przeniesiono kiosk na drugą stronę Puławskiej, gdzie już jedna drewniana budka z artykułami spożywczymi stała. Dziś w tym miejscu jest przystanek autobusowy. Henryk opowiada, że trzeba było zgłosić się do sekretarki po specjalną kartę, aby wyjść poza zakład i kupić coś do jedzenia.
– Przysługiwało piętnaście minut, więc niby wystarczająco czasu, ale karta była jedna, gdy ktoś zapomniał ją oddać, albo za długo stał przy kiosku, bo piwko sobie kupił, to kłótnie były – wspomina.

W drodze do sklepików przechodziło się przez duży, piaszczysty plac, który służył jako zakładowy parking. Zanim zaczęło przybywać samochodów była tam zadaszona, ogrodzona

LAMINA_Layout 1 2016-12-28 09:14 Strona 58

siatką i zamykana na klucz wiata, w której parkowano rowery i motocykle. Latem obok wiaty powstawało skromne boisko do siatkówki.

– Na terenie Laminy był magazyn, w którym przechowywano próbki ziemi z całej Polski. Latem przyjeżdżali na praktyki studenci geologii i graliśmy z nimi w siatkówkę. Dziś na miejscu parkingu i boiska stoi duży salon samochodowy. Z dawnych czasów zostały tylko drzewa sadzone w czynie społecznym przez pracowników Laminy.

Dość szybko skończyła się możliwość przedłużania przerwy śniadaniowej, czy wyskoczenia na małe piwko, bo na terenie zakładu powstały dwa sklepiki spożywcze: nieduże kioski oficjalnie nazywane *barobusami*. Równie szybko na parterze budynku, w którym obecnie mieści się Zakład Ubezpieczeń Społecznych, uruchomiono stołówkę. Początkowo z możliwości zjedzenia obiadu mogło skorzystać niewiele osób, według oficjalnych danych wydawano sto obiadów miesięcznie. W 1970 roku podpisano umowę z piaseczyńskim PSS (Powszechna Spółdzielnia Spożywców) na, jakby się dziś powiedziało, catering i ilość obiadów wzrosła do trzystu pięćdziesięciu. To samo przedsiębiorstwo zaopatrywało Laminę w napoje chłodzące i mleko.

– Mleko przysługiwało osobom pracującym w szkodliwych warunkach, na przykład przy galwanizacji albo lutowaniu, do którego używało się cynowo - ołowiowego spoiwa, ale tak naprawdę nikt tego podziału nie pilnował. Przynieśli na halę bańkę mleka i kto chciał to pił. Kubek mleka, jakaś bułka i już śniadanie było – opowiada Andrzej.

W tym czasie zniknęły już barobusy a śniadaniowe bułki kupowano w bufecie prowadzonym przez PSS.

Prewencja i tańce

Ochotnicza Straż Pożarna Lamina zaczęła działać w 1962 roku. O jej powstaniu zdecydowały władze zakładu, z każdego działu oddelegowano jedną lub dwie osoby a dowództwo objął oficer pożarnictwa, Włodzimierz Lubański. Powstała duża jednostka z samochodem bojowym, strażnicą, magazynem na sprzęt. Prowadzono co sobotnie ćwiczenia nad Wisłą albo nad Jeziorką. Henryk w OSP służył około piętnastu lat.

– Naszym zadaniem było przede wszystkim zapobieganie pożarom, prowadziliśmy częste kontrole wydziałów i dawało to efekty, bo nie było poważnych i groźnych akcji. Zdarzały się drobne interwencje, gdy na przykład w wydziale mechanicznym doszło do samozapłonu szmat albo w magazynie chemicznym baniak z cieczą łatwopalną się stłukł. Poza Laminą braliśmy udział w akcjach przeciwpowodziowych, odśnieżaniu dachów – opowiada.

W całej okolicy słynne były organizowane przez strażaków z Laminy zabawy sylwestrowe, karnawałowe, z orkiestrą i poczęstunkiem, huczne i do białego rana. Mniej oficjalne, ale nie mniej popularne były wieczorki taneczne organizowane przez młodych zapaleńców. Zaczęło się od tego, że przy Laminie utworzono zespół muzyczny *Tulipany*, z czasem jego miejsce zajął *Elektron*, potem *Progres*, w którym m. in. grali Wiesiek Kudlak, Mietek Majewski. Ktoś z zespołu *Progres* rzucił pomysł o wieczorkach tanecznych, rada zakładowa wyraziła zgodę i można było przystąpić do działania. Znaleźli się chętni do pracy, wśród nich także Tadeusz, Henryk i Andrzej. Wieczorki odbywały się w sali widowiskowej w budynku, który teraz zajmuje Zakład Ubezpieczeń Społecznych, trwały od godziny 18.00 do 22.00.

LAMINA_Layout 1 2016-12-28 09:14 Strona 59



Zdjęcie zbiorowe Ochotniczej Straży Pożarnej z Laminy
Fot. archiwum Henryka Kozłowskiego

Bywało, że na takiej potańcówce bawiło się dwieście pięćdziesiąt a nawet trzysta osób. Bilety były stemplowane, organizatorzy pilnowali porządku przy wejściu i na sali, po zabawie rozliczali się z wydatków a zebrane pieniądze wpłacali do rady zakładowej.

– Zabawy były bezalkoholowe. Dość często następnego dnia po zabawie dyrektor przychodził i sprawdzał, czy w kątach nie ma schowanych butelek, ale to się nie zdarzało. I bez alkoholu ludzie się świetnie bawili. Bilety były tanie, a zespół *Progres* tak grał, że każdy tańczył. Największy przebój tamtych czasów *Jak się masz, kochanie* cała sala śpiewała - wspomina Henryk.

Kiedyś ta sława potańcówek przyczyniła się do przejściowych kłopotów.

– Przyjechało z Warszawy kilkadziesiąt młodych osób, żeby dokonać zemsty, bo ktoś od nas pobił kogoś od nich, doszło do przepychanek. Po tym zdarzeniu zabroniono organizowania zabaw, ale dość szybko zakaz cofnięto – opowiada Tadeusz.

Socjal, czyli mieszkania i inne

W czasach PRL-u na zakładach pracy, zwłaszcza tak dużych jak Lamina, spoczywał obowiązek zaspokajania podstawowych potrzeb pracownika poczynając od tych mieszkaniowych, przez opiekę zdrowotną, dostęp do kultury, możliwość wypoczynku. Organizacją tego wszystkiego zajmowały się pracujące pod czujnym okiem władz partyjnych komisje działa-

LAMINA_Layout 1 2016-12-28 09:14 Strona 60

jące w ramach rad zakładowych. Roztaczana nad pracownikami opieka umożliwiała władzom większą kontrolę nad nimi, miała też za zadanie ich integrację z miejscem pracy.

Dla wielu osób najistotniejszą kwestią był brak mieszkania i możliwość otrzymania lokum zakładowego była niezwykle ważna. O jego przydziale decydowała komisja mieszkaniowa, zbierano dokumenty, podania, odbywały się wizje lokalne. Mieszkania budowano zwykle na takiej zasadzie: powstawała spółdzielnia mieszkaniowa, zakłady pracy współfinansowały budowę bloków, w których dla każdego zakładu wydzielano jakąś pulę lokali. Pieniądze pochodziły z Zakładowego Funduszu Remontowego, z Funduszu Resortowego oraz z wkładów ciułanych na książeczkach mieszkaniowych przez pracowników.

Pierwsze bloki z mieszkaniami dla pracowników Laminy powstały w 1958 roku przy ulicy Puławskiej naprzeciwko ulicy Młynarskiej. Obecnie jest to róg Puławskiej i Szkolnej, ale wówczas żadnej bocznej ulicy tam nie było, miasto kończyło się na ulicy Fabrycznej, dalej były pola. - W Laminie na mieszkanie zakładowe początkowo czekało się trzy-cztery lata, z czasem coraz dłużej. Szybciej przydzielano je specjalistom, osobom partyjnym – mówi Tadeusz.

Zdarzało się, że mieszkanie można było otrzymać poza Piasecznem. W latach osiemdziesiątych Lamina dostała cały budynek na ursynowskim osiedlu. Mieszkania były w stanie surowym i wykańczali je we własnym zakresie ci, którym przyznano lokale. Wśród nich był Tadeusz.

– Dyrekcja szła nam wtedy tak na rękę, że dwa - trzy razy w tygodniu zwalniano nas z pracy i ciężarówką zawożono do Warszawy, żebyśmy mogli jak najszybciej mieszkania przygotować – wspomina.

Jednym z budynków w całości przeznaczonych dla pracowników zakładu był blok, który w latach siedemdziesiątych zbudowano tuż przy Laminie. Ostatnie laminowskie mieszkania zakładowe przydzielono na początku lat dziewięćdziesiątych w budynku stojącym niedaleko rogu ulic Młynarskiej i Puławskiej.

Zakład dbał nie tylko o mieszkania, ale i o przedszkola. W 1969 roku w Laminie pracowało 1,8 tys osób, w 1971 – 1,9 tys., średnia wieku zatrudnionych wynosiła 32-35 lat, niemalże połowę załogi stanowiły kobiety. Zakładano rodziny, przybywało dzieci. W tamtych latach w Piasecznie były dwa przedszkola – jedno w mieście z miejscami dla ponad stu dzieci, drugie w Zalesinku – tymczasowo ulokowane w prywatnej willi mogące przyjąć około osiemdziesięcioro dzieci. Co prawda, w przedszkolach znalazło się miejsca dla około osiemdziesięciorga dzieci pracowników Laminy, ale potrzeb było dużo więcej. W 1969 roku między Laminą a władzami miasta doszło do porozumienia w sprawie wspólnej budowy przedszkola i żłobka. Zakład zgodnie z umową wpłacił Miejskiej Radzie Narodowej ustaloną kwotę. Władze nie były jednak do inwestycji przygotowane, nie było lokalizacji, dokumentacji i pieniądze przepadły.

W Laminie przyszedł czas na rozwinięcie opieki medycznej. W 1972 roku, z dwuletnim opóźnieniem, uruchomiono na parterze biurowca przychodnię międzyzakładową. Przyjmowali w niej lekarze podstawowych specjalności, było laboratorium analityczne. Dzisiaj w tym samym miejscu istnieje przychodnia prywatna.

LAMINA_Layout 1 2016-12-28 09:14 Strona 61



Pracownicy Laminy na wycieczce, w najwyższym rzędzie, pierwszy z lewej: Wiesław Feliszek, czwarty: Wiesław Różański, szósty: Tadeusz Ładziński, w trzecim rzędzie niżej, pierwszy z lewej: Kazimierz Stański, w ostatnim rzędzie, drugi z lewej: Pastwa.
Fot. archiwum Henryka Kozłowskiego

Kultura i wypoczynek

W Laminie działała między innymi sekcja brydża sportowego, klub wędkarski a przez jakiś czas nawet Filmowy Klub Dyskusyjny. Ponieważ w Laminie nie było miejsca na salę kinową nawiązano współpracę ze Szkołą Ruchu Drogowego Milicji Obywatelskiej w Iwicznej. Projekcje filmowe, spotkania z ludźmi filmu odbywały się tam przez pierwszą połowę 1971 roku, kolejne sześć miesięcy sala była remontowana a z czasem Klub przestał istnieć. Za to PTTK-a funkcjonowało z powodzeniem przez lata. Organizowano dużo bliższych i dalszych wycieczek, nawet zagranicznych, była też wypożyczalnia sprzętu sportowego.

– Ludzie chętnie jeździli na wycieczki, wspólny wyjazd na grzyby też był atrakcją. Całymi rodzinami się jeździło i to było dobre. Dzisiaj wyjazdy integracyjne łączą tylko pracowników, rodziny zostają na marginesie – stwierdza Tadeusz.

Spośród wielu imprez rekreacyjnych i sportowych chyba największą popularnością cieszyły się międzywydziałowe rozgrywki piłki nożnej o puchar Laminy. Nieoficjalnym opiekunem rozgrywek był pracownik Laminy, Józef Borowski, prywatnie prezes klubu sportowego w Piasecznie.

– Trenerów nie było, ale byli fanatycy piłki – wspomina Tadeusz. - Dzień po meczu większość z nas spotykała się przed drzwiami lekarza zakładowego, ale nikogo kontuzje nie zniechęcały. A jak nam koledzy kibicowali!

LAMINA_Layout 1 2016-12-28 09:14 Strona 62



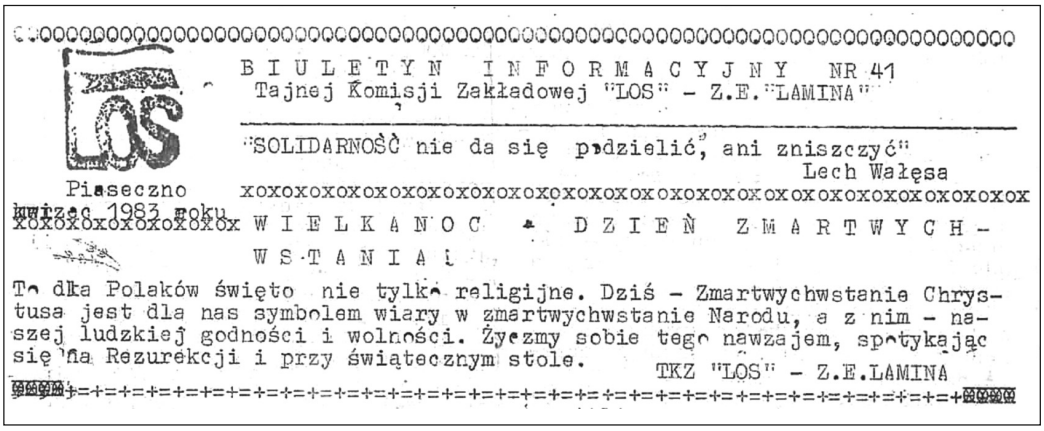
Piaseczno, lata sześćdziesiąte XX w., drużyna piłkarska z Laminy po meczu,
stoją od lewej: Józef Borowski (kierownik drużyny), Rasiński, Tadeusz Lewandowski, nn, Wiesław Feliszek
poniżej od lewej: nn,Tadeusz Badowski, Jan Sinbida, nn,Tadeusz Ładziński
Fot. archiwum Tadeusza Ładzińskiego



Piaseczno, lata sześćdziesiąte XX w., drużyna piłkarska z Laminy po meczu,
od lewejstoją: Kazimierz Reczulski, Zawiślak,
Fot. archiwum Tadeusza Ładzińskiego

Solidarność

Gdy w sierpniu 1980 roku powołano ogólnopolski Niezależny Samorządny Związek Zawodowy *Solidarność* bardzo szybko i w Laminie założono organizację zakładową. A potem był stan wojenny.



BIULETYN INFORMACYJNY NR 41
Tajnej Komisji Zakładowej "LOS" - Z.E."LAMINA"

"SOLIDARNOŚĆ nie da się podzielić, ani zniszczyć"
Lech Wałęsa

Piaseczno wiosna 1983 roku

WIELKANOC - DZIEŃ ZMARTWYCH-WSTANIA !

Dla Polaków święto nie tylko religijne. Dziś - Zmartwychwstanie Chrystusa jest dla nas symbolem wiary w zmartwychwstanie Narodu, a z nim - naszej ludzkiej godności i wolności. Życzmy sobie tego nawzajem, spotykając się na Rezurekcji i przy świątecznym stole.

TKZ "LOS" - Z.E.LAMINA

Winieta gazetki „Los" wydawanej konspiracyjnie w czasie wojennym przez kilku pracowników Laminy
Fot. archiwum Tadeusza Ładzińskiego

LOS (Laminowska Obrona Solidarności), pismo wydawane od stycznia 1982 do kwietnia 1988 roku. Ukazało się 129 numerów i 6 numerów specjalnych, dwutygodnik, format A4, nakład 100 egzemplarzy, kolportowana w zakładzie pracy. Skład redakcji: Leopold Witz, Jan Goźliński, Tadeusz Brajbisz oraz członkowie Tajnej Komisji Zakładowej; drukarze: Jan Goźliński, Andrzej Kamać, przygotowanie matryc: Andrzej Kamać lub członkowie TKZ.
źródło: Encyklopedia Solidarności www.encysol.pl

– Pamiętam jak strajkowaliśmy. To było 14 grudnia, w poniedziałek. Syn przynosił mi pod bramę jedzenie, bo wszystko trwało od samego rana do pierwszej w nocy. W głównej hali zebrało się prawie osiemset osób, był ktoś z *Solidarności* z Regionu Mazowsze. Musiał wcześniej przyjechać, bo w czasie strajku nikogo na teren zakładu nie wpuszczano. Rozmowy czy strajkować, jak długo strajkować trwały i trwały. Jakiś mężczyzna krzyczał rozpaczliwie: Ludzie! nie wiecie jakie oni mają metody, jakie tortury stosują jak za poglądy zamkną! Po północy zapadły decyzje, że wracamy do domów. Od przełożonych dostaliśmy przepustki, żeby móc po godzinie policyjnej po mieście się poruszać, ale tak naprawdę to był prosty sposób, żeby wiedzieć, kto w strajku brał udział. Potem, jak w każdym zakładzie pracy był komisarz wojskowy, zaczęły się szykanowania solidarnościowców, cała komisja zakładowa *Solidarność* została wtedy zwolniona i część była internowana. Ale ludzie bardzo sobie pomagali, robiono składki dla rodzin tych internowanych i zwalnianych.

Solidarność w Laminie działała w podziemiu mimo narastających represji. Wtajemniczeni wiedzieli, że spotkania solidarnościowców odbywają się przy kościele w Iwicznej. Przykrywką były prace na rzecz parafii. Wydawana była zakładowa, konspiracyjna gazetka LOS.

Przemiany

W czasie swego istnienia Lamina tyle razy zmieniała swe nazwy, że można się w ich gąszczu pogubić. Pierwsza nazwa została zmieniona na Doświadczalne Zakłady Lampowe Lamina. Był to rok 1965.

Dziesięć lat później nastąpiło przekształcenie w Zakłady Lamp Elektronowych Lamina. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przedsiębiorstwo świetnie funkcjonowało, produkcja oparta była na licencji amerykańskiej firmy Westinghouse, zatrudnienie sięgało około 2,5 tys. osób. Mimo rozwoju zakładu, niezłych zarobków i lubianej pracy w 1979 roku Henryk z powodów osobistych odchodzi z Laminy.

Lata dziewięćdziesiąte były początkiem upadku zakładu. Scenariusz był typowy dla tamtych czasów - załamanie produkcji, zwolnienia i wreszcie wyprzedaż majątku.

W roku 1993 miał miejsce kolejny podział Laminy. Powstały wówczas Zakłady Elektronowe Lamina, w których pracowało około 700 osób oraz ABB Lamina sp. z o. o. zatrudniająca około 170 pracowników. Z tej drugiej Laminy powstał z czasem Thomson-Lamina Lampy Elektronowe sp. z o. o.

Następne zmiany miały miejsce w 1995 roku, kiedy przedsiębiorstwo państwowe podzielono na dwie spółki. Powstały Lamina S.I. produkująca półprzewodniki oraz Zakłady Elektronowe Lamina S.A. produkująca lampy mikrofalowe. Potem nadeszły zwolnienia.

– W 1996 roku zapadły decyzje, że kto miał za sobą czterdzieści lat pracy, tak jak ja, tego bez względu na wiek przesuwano na emeryturę. Etat likwidowano i już – mówi Tadeusz. - Na pożegnanie był szampan, ciasteczko, kwiaty, uścisk dłoni dyrektora i do widzenia. Zostałem emerytem w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. Mogłem jeszcze długo pracować.

W roku 2003 Lamina S.A. przejęła swoją siostrę, Laminę S.I. nadal produkując lampy mikrofalowe wykorzystywane przede wszystkim w stacjach radiolokacyjnych. Lamina S.A stała się niewielkim zakładem, pracowało w nim zaledwie 160 osób, w tym 130 na stanowiskach produkcyjnych, jednak z czasem, mimo trudności na rynku i malejącego zapotrzebowania na lampy, produkcja zaczęła przynosić niewielkie zyski. W roku 2013 Agencja Rozwoju Przemysłu S.A sprzedała ponad 63 proc. akcji przedsiębiorstwa spółce Kubara Investment House ze Świdnicy. Działalność zakładu Kubara Lamina obejmuje produkcję elementów elektronicznych, obróbkę i nakładanie powłok na metale oraz wynajem i zarządzanie nieruchomościami. Odbiorcami wytwarzanych produktów nadal są firmy krajowe, zagraniczne oraz wojsko.

Epilog

Samochód wjeżdża na teren zakładu, mija byłą portiernię, w której dziś jest restauracja. Tadeusz wolno prowadzi auto, Henryk i Andrzej rozglądają się wokół.

– Chyba mniej więcej tutaj stały baraki administracyjny i ten hotelowy, w którym mieszkałem – zastanawia się Henryk, gdy jadą uliczką między starym zbiornikiem na wodę a budynkiem, w którym obecnie mieści się zakład Kubara-Lamina. Lawirują alejkami, mijają duży budynek.

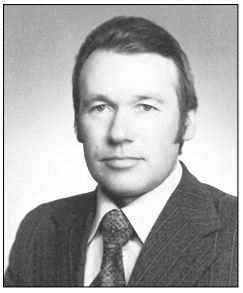
– W tej hali produkowano lampy mikrofalowe dla wojska, ściany były od wewnątrz wyłożone folią aluminiową i ołowiową. Oficjalnie, żeby promieniowanie nie zakłócało pracy urządzeń pokładowych przelatujących nad nami samolotów, nieoficjalnie po to, żeby wróg nie odkrył tajemnic produkcji – mówi Tadeusz, a Henryk i Andrzej kiwają potakująco głowami. Pamiętają, że wszyscy musieli podpisywać dokumenty o zachowaniu tajemnicy produkcji, że z tego powodu nie było łatwo uzyskać pozwolenie na wyjazd poza kraje socjalistyczne.

LAMINA_Layout 1 2017-01-02 14:21 Strona 65

– Tu była kuźnia, tu galwanizernia, tu magazyny – przypominają sobie Tadeusz z Henrykiem. Dziś w wynajmowanych od właściciela budynkach mieszczą się różne firmy. Andrzej uważnie przygląda się otoczeniu, z trudem rozpoznaje dawne miejsca.
– Wszystko przeszło, przeminęło nie wiadomo kiedy – wzdycha.

W milczeniu wyjeżdżają za bramę.

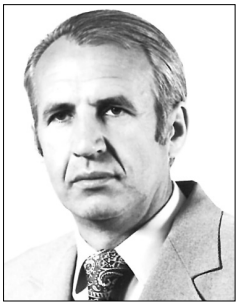
Tadeusza Ładzińskiego, Henryka Kozłowskiego i Andrzeja Zawiślaka łączy długoletnia praca w Laminie. Tadeusz i Henryk byli świadkami jej powstawania i przemian, Tadeusz przeżył jej upadek. Andrzej pracował w Laminie kilka lat, ale z sentymentem wspomina tamte czasy.



Henryk Kozłowski



Andrzej Zawiślak



Tadeusz Ładziński

Tadeusz Moskalewicz_Layout 1 2016-12-28 09:19 Strona 66

Tadeusz Moskalewicz_Layout 1 2016-12-28 09:19 Strona 67

Wspomina Tadeusz Moskalewicz

Krótkie opowieści

Z przyjemnością czytam piaseczyńskie wspomnienia, z których układa się barwna historia naszego miasta. Ponieważ uważam, że ważny jest każdy okruch pamięci, dorzucam swoje krótkie opowieści.

Na terenie między ulicami Fabryczną a Kościelną (obecnie Jana Pawła II) były kiedyś pola uprawne, stało kilka domostw, w tym i moje rodzinne. W pobliżu biegły tory prowadzące do mirkowskiej fabryki papierów, była też bocznica. Rok jej budowy i dzień otwarcia upamiętniał duży głaz z wyrytym napisem: BOCZNICA MIRKOWSKIEJ FABRYKI PAPIERU 1-X-1935 R. Dla okolicznych dzieciaków był to ważny punkt, bo robiliśmy sobie zawody w bieganiu do kamienia i z powrotem.

Głaz z napisem z 1935 roku, lata 80. XX wieku.
Fot. Tadeusz Tyszka



Dziecięce zabawy są miłym wspomnieniem, ale mam też i inne obrazy w pamięci. Jest rok 1944, w Warszawie trwa Powstanie. Przed naszym domem, na torach stoi olbrzymia, umieszczona na platformie armata, z której Niemcy prowadzą ostrzał stolicy. Działo miało lufę, która mogła poruszać się tylko w pionie, Niemcy wykorzystując, że jedne z torów zakręcały tworząc lekki łuk, zmieniali kierunek ostrzału przeciągając działo za parowozem. W budynku, w którym była kolejowa waga, znajdowała się radiostacja i doskonale pamiętam, jak Niemiec wychodził przed budyneczek, krzyczał: „Feuer!" i wtedy odpalano pocisk. Rodzice wciąż nam powtarzali, żeby wtedy usta otwierać, bo inaczej można ogłuchnąć. Od huku pękały ściany okolicznych domów stojących przed armatą, mniej narażone były te z tyłu, jak nasz. Przy stanowisku armatnim było pole z ziemniakami i pod wpływem podmuchów ziemniaki leżały na wierzchu, między wystrzałami zbierało się je szybko do koszyka i chodu do domu.

Armaty były dwie, ustawiane na stanowisku zamiennie[1]. Ta druga stała w Zalesiu Górnym, tam też mieszkała w wagonach kolejowych obsługa działa. Ludzie mówili, że wagonów było chyba ze dwadzieścia a żołnierzy około pięciuset.

[1]Był to najprawdopodobniej 54 cm Karl-Gerat – najcięższy samobieżny moździerz używany w czasie II wojny światowej, potocznie nazywany „Gruba Berta". Podczas ostrzeliwania Warszawy poruszał się po torach na odcinku Iwiczna – Zalesie Górne (dop. red.).

Tadeusz Moskalewicz_Layout 1 2016-12-28 09:19 Strona 68

Równie mocno zapamiętane przez mnie zdarzenie ma miejsce kilka miesięcy później. Torami jedzie niemiecki pociąg wojskowy, zaczyna się nalot, ze stojącego pociągu wysypują się żołnierze i szukają schronienia. Ojciec mój już dawno przygotował dla nas schron. Nic specjalnego to nie było, ot, zwykła ziemianka z kilkuwarstwowym dachem z podkładów kolejowych, ale dawała nam złudne poczucie bezpieczeństwa. Chowamy się więc w schronie, a po chwili wpada do środka dwóch Niemców w długich, skórzanych płaszczach, z maskami gazowymi wiszącymi przy pasach i brutalnie wyrzuca nas stamtąd. Zajmują nasze miejsce, a my pędzimy przez pole do sąsiadów.

Kolejna opowieść też w pewien sposób związana jest z bronią, ale toczy się już wiele lat po wojnie. Byłem wtedy uczniem liceum przy Chyliczkowskiej. Lekcje przysposobienia obronnego prowadził profesor Ludwik Chełmicki, nauczyciel wychowania fizycznego, wysoki, wysportowany, miał przydomek *Łysy*, bo naprawdę był łysy. Na jednej lekcji tzw. *peo* zaprowadził naszą klasę na Pólko. Tam były resztki jakiegoś pałacyku, obok którego znajdował się wyłożony kafelkami basen, zniszczony tak samo jak cała posiadłość. I w tym basenie Chełmicki urządził dla nas strzelnicę, bo strzelanie z KBKS-u było wpisane w program nauczania.



Piaseczno, druga połowa lat pięćdziesiątych, liceum Ogólnokształcące przy ul. Chyliczkowskiej, pierwszy z lewej siedzi profesor Ludwik Chełmicki.
Fot. archiwum Tadeusza Moskalewicza

Tadeusz Moskalewicz_Layout 1 2016-12-28 09:19 Strona 69

Najlepszym strzelcem w szkole był wówczas Heniek Handke, ale podczas tej pierwszej lekcji okazało się, że ja też mam do tego smykałkę i w ten sposób powstała dwuosobowa sekcja strzelnicza. Profesor, aby z nami trenować, poświęcał swój prywatny czas. Na niedziele zapraszał nas do siebie, do Złotokłosu. Jechaliśmy tam ciuchcią wzbudzając ogólne zainteresowanie, bo mieliśmy ze sobą karabinki. Musieliśmy być odpowiedzialnymi chłopakami, skoro profesor z pełnym zaufaniem pozwalał nam trzymać karabinki w domu. Na miejscu szliśmy ze dwa kilometry nad Jeziorkę, ustawialiśmy tarcze i trenowaliśmy pod jego opieką. Dość szybko zaczęliśmy jeździć na zawody powiatowe, na mistrzostwa wojewódzkie i uzyskiwaliśmy dobre wyniki. Za zajęcie przez nas wysokich miejsc w klasyfikacji szkoła dostała dwa węgierskie wyczynowe KBKS-y.

Chełmicki był pasjonatem sportu. Któregoś roku zorganizował dwutygodniowy obóz narciarski w Kowańcu niedaleko Nowego Targu. Mieszkaliśmy w wynajętej góralskiej chacie, warunki spartańskie, zimno było jak cholera! W ciągu dnia jeździliśmy na nartach, wieczorem maszerowaliśmy prawie pięć kilometrów do Nowego Targu na lodowisko i mieliśmy trening hokejowy. Jednego dnia wybraliśmy się na Turbacz, a potem był zjazd w dół. Jakie to było wspaniałe przeżycie!

Wcześniej wspomniałem o kamieniu upamiętniającym budowę bocznicy. Dzisiaj kamień stoi na terenie kolejki wąskotorowej w Piasecznie jako ślad przeszłości. Swoje miejsce na stacji znalazł też kolejarski krzyż z roku 1956, kiedy to władze PRL-u oficjalnie wyraziły zgodę, by procesja podczas Święta Bożego Ciała była poprowadzona poza murami kościołów. Kolejarze zbudowali z szyn kolejowych krzyż, który stanął przy głównym ołtarzu, na placu przed obecnym Urzędem Gminy. W latach siedemdziesiątych władze miasta uznały, że krzyż w tym miejscu stać nie powinien i nakazały przeniesienie go na ulicę Sierakowskiego. Czas mijał, ulica się rozbudowywała, krzyż gubił się wśród nowo powstałych budynków. Po trzydziestu latach zebrało się kilka osób, wiem, że byli to m. in. Jerzy Kaczyński, Tadeusz Warsza, Jerzy Chmielewski i przy wsparciu ówczesnego proboszcza ks. Tadeusza Sowy doprowadzono do przeniesienia krzyża na teren kolejki.



Tadeusz Moskalewicz

Janina Niemczyk_Layout 1 2016-12-28 09:23 Strona 70

Janina Niemczyk_Layout 1 2016-12-28 09:23 Strona 71

Wspomina Janina Niemczyk

Głoskowianka w Piasecznie

Moją rodzinną miejscowością jest Głosków a parafią Jazgarzew[1]. Pierwszy raz w Piasecznie byłam w 1938 roku. To był odpust św. Anny, na który zabrała mnie moja babka, Anna. Miałam wtedy 11 lat i nie podobał mi się ani kościół, ani odpust. Byłam zakochana w swojej parafii w Jazgarzewie. Tu kościół był nowy, piękny, prawie pusty, bo dopiero urządzany, a w Piasecznie stary, ciemny, powykoślawiane ławki w nim były. Odpust u nas też był ładniejszy, karuzele jedna obok drugiej stały na łące nad Jeziorką, straganów dużo. Po latach zrozumiałam, że babka chciała pokazać mi coś ważniejszego niż odpust, który był tylko pretekstem do wyprawy.

Pamiętam, jak w budynku plebanii (obecnie siedziba Muzeum Regionalnego) pokazała dwa okna wychodzące na kościół mówiąc: *Tu mieszkałam*, a potem poszłyśmy na cmentarz, bo chciała mi pokazać mogiłę opiekuna mojego dziadka. Stanęłyśmy przed grobem, w którym pochowani są ks. Feliks Matulewicz, proboszcz parafii Piaseczno, zmarły w listopadzie 1902 roku i Karol Smorczewski, obywatel ziemski, zmarły w styczniu 1903 roku. Inskrypcja na nagrobku głosi, że pochowani byli przyjaciółmi, że *proszą o Zdrowaś Marya*.

Karol Smorczewski, syn Tytusa i Józefy z Dzierżków, był tym panem, który zaopiekował się dziadkiem, gdy pradziadka władze carskie zesłały na Sybir. Pradziadek był nauczycielem w majątku pana Smorczewskiego, w tajemnicy przed władzami uczył wiejskie dzieci czytać i pisać po polsku. Tajemnicy nie dało się utrzymać. Pradziadka skazano na zsyłkę, pana Smorczewskiego pozbawiono majątku i tytułu. Gdy Kozacy zabierali pradziadka z majątku poprosił pana Smorczewskiego: *Zaopiekuj się moim synem i żoną* i pan Karol obietnicy dotrzymał. Zgodnie z wolą prababki dziadek terminował u szewca, zdobył zawód, założył rodzinę. Dziadkowie jako młode małżeństwo zamieszkali na pięterku plebanii, babcia urodziła czternaścioro dzieci, z których przeżyło troje – moja matka i jej rodzeństwo - brat starszy o lat siedem i starsza o czternaście lat siostra. Babcia, zawsze w chustce na głowie, wyglądała jak zwykła, wiejska kobieta, ale była bardzo oczytana, znała na pamięć wiersze Mickiewicza, bajki Krasickiego.

Z wybuchem wojny skończyło się moje dzieciństwo. Szóstą klasę szkoły powszechnej skończyłam w Jazgarzewie i bardzo chciałam uczyć się dalej. Ojciec mówił, że dopiero jak się wojna skończy, ale matka, mimo że była bieda, zdecydowała inaczej. W 1941 roku poszłam do Żeńskiego Prywatnego Gimnazjum i Liceum prowadzonego przez Janinę Popielewską i Janinę Roszkowską w Warszawie przy ul. Bagatela 15. Jeździłam ciuchcią do Warszawy, wychodziłam przed szóstą, wracałam po siedemnastej i zabierałam się za prace domowe. Maturę zrobiłam w War-

[1] Dziś parafia w Głoskowie. W 1980 roku został wybudowany kościół, erekcji parafii dokonał Kardynał Prymas Stefan Wyszyński. W granice nowej parafii weszły miejscowości: Głosków, Głosków Zielone, Baszkówka, Bąkówka i Runów. (dop. red.)

szawie, potem przez kilka lat pracowałam w centralnej księgowości PKO i przejeżdżając prawie codziennie przez Piaseczno nigdy nie pomyślałam, że zwiążę z tym miastem swoje życie na sześćdziesiąt lat. Stało się to, gdy zaczęłam pracę w piaseczyńskim Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska".



Siostry Kowalskie: Janina Niemczyk (z prawej) i Marianna Staszczak (z lewej), rok 1937
Fot. archiwum Janiny Niemczyk



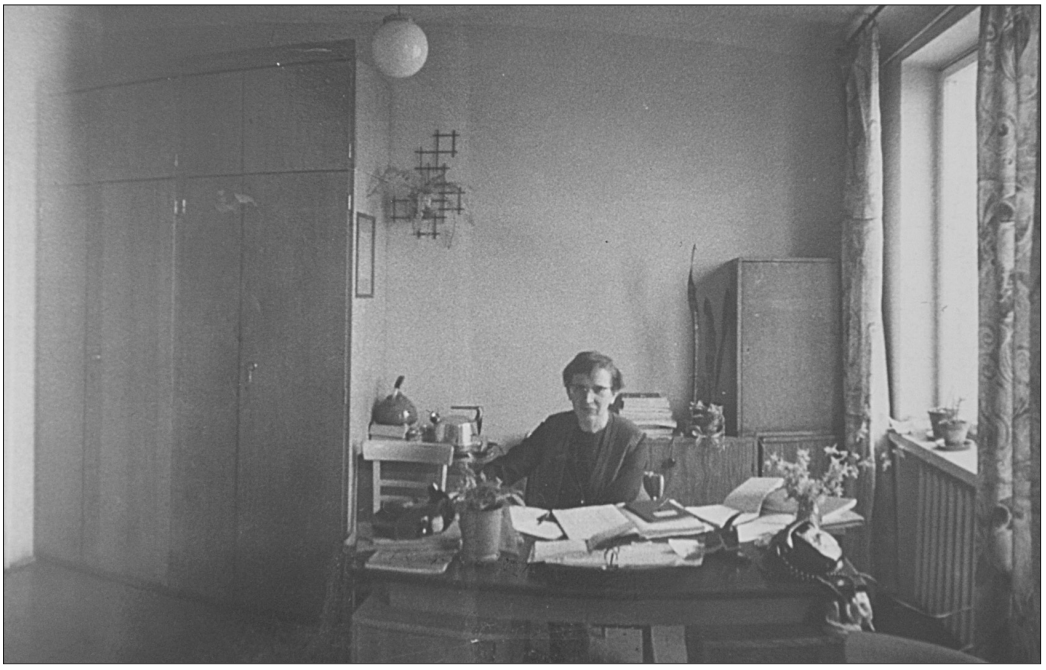
Siostry Kowalskie: Janina Niemczyk (z prawej) i Marianna Staszczak (z lewej), rok 1954
Fot. archiwum Janiny Niemczyk

Gminne Spółdzielnie SCh zostały powołane przez władzę ludową w drugiej połowie lat czterdziestych, a ich struktura i skład zależały od przeprowadzanych reform administracyjnych. W Piasecznie na początku lat pięćdziesiątych biuro PZGS-u mieściło się przy ulicy Młynarskiej 3. W pobliżu stacji PKP znajdował się magazyn zbożowy, jako magazyny służyły też dwie drewniane chałupki przy ul. Zgoda. W roku 1952 przejęto posesję przy Puławskiej 26 należącą do państwa Kozdrowiczów. W stajniach powstały pomieszczenia biurowe, w oborze - warsztat naprawczy, w stodole – garaże, w stojącej na rogu ulic Szkolnej i Puławskiej piekarni na piętrze urządzono dodatkowe pomieszczenia biurowe a na parterze magazyny, z czasem zamienione na wylęgarnię kurcząt.

Kiedy w 1954 roku zaczynałam pracę, biura znalazły swoją siedzibę w zaadaptowanej na te potrzeby żydowskiej mykwie. W stojącej obok bożnicy, budynku z charakterystycznymi narożnymi przyporami i wysokimi dwuskrzydłowymi drzwiami, przez które swobodnie wjeżdżał do środka samochód, urządzono magazyn towarów zbożowych. Na placu obok było targowisko a na jego lewym skraju od ulicy Sierakowskiego niemalże do parku chyliczkowskiego, stało rzędem szesnaście drewnianych budek, czynnych we wtorki i piątki w dni targowe. Pod koniec lat pięćdziesiątych piaseczyński PZGS przejął te budki podpisując z właścicielami umowy ajencyjne.

Dzisiaj w miejscu bożnic jest mały skwerek, tam gdzie było targowisko jest duży parking, zachowała się jedynie mykwa (obecnie przy ul. Zgoda 1).

W PZGS trudno było popaść w rutynę w związku z ciągłymi narzucanymi odgórnie zmianami - dział wyrobów żelaznych zamieniano na urządzenia sanitarne, te z kolei na glazurę, terakotę,



Piaseczno, początek lat siedemdziesiątych XX w., Janina Niemczyk w biurze Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", mieszczącego się przy, ul. Nadarzyńska 53.
Fot. archiwum Janiny Niemczyk

dorzucano papę, lepik i eternit do składowania i sprzedaży drewna, by wkrótce zamienić to na stolarkę budowlaną i tak nieustannie. Zmieniała się lokalizacja towarów w magazynach, a i same magazyny wędrowały z miejsca na miejsce. Dość szybko w bożnicy umieszczono przedmioty gospodarstwa domowego a towary zbożowe przeniesiono na Nadarzyńską, gdzie nadal cukier nabierano szufelką, wsypywano do jednokilogramowych torebek i ważono na szalce. Na magazyny wynajmowano różne pomieszczenia. W stodole przy ul. 22 Lipca składowano słoiki i wecki, w baraku w Chylicach były żarówki, motorowery, w przejętym na użytkowanie drewnianym, piętrowym młynie na Pólku utworzono magazyn i mieszalnię pasz, co zamieniono pod koniec lat sześćdziesiątych na hurtownię papierów. W kwietniu 1974 roku młyn spłonął, spłonęły też wszystkie znajdujące się w nim towary. Kilka lat później był pożar magazynu spożywczo - cukierniczego w budynku znajdującym się na rogu Nadarzyńskiej i Towarowej.

Nadszedł sierpień 1980 i cała załoga zapisała się do NSZZ Pracowników Spółdzielczości. Z handlem było coraz gorzej, coraz mniej towarów na półkach, w końcu handlowano jedynie groszkiem konserwowym i octem, którego też zaczynało brakować. Ludzie na potęgę robili marynaty a dostawy były coraz mniejsze. Potem był 13 grudnia 1981 roku i stan wojenny. Nieczynne faksy, głuche telefony, które dla Piaseczna i Warszawy uruchomiono dopiero 14 stycznia. Żyło się coraz trudniej, stopniowo obejmowano reglamentacją niemalże wszystkie towary. Kartki na cukier obowiązywały już od 1976 roku, przy czym część cukru dostępna była poza reglamentacją, w cenie komercyjnej, ponad dwukrotnie wyższej niż tzw. *kartkowa*. Kolejne kartki zaczęto wprowadzać w roku 1981 po ogłoszeniu stanu wojennego a lista towarów reglamentowanych stawała się coraz dłuższa. W latach osiemdziesiątych znalazły się na niej mięso i jego przetwory,



Targowisko miejskie przy ul. Sierakowskiego w latach 70. XX wieku.
Fot. Jacek Mrówczyński



Ulica Puławska w roku 1970.
Fot. Jacek Mrówczyński

Janina Niemczyk_Layout 1 2016-12-28 09:23 Strona 75

potem doszło masło, mąka pszenna, płatki zbożowe, kasza, ryż, czekolada, cukierki. Wprowadzono kartki na artykuły chemiczne i kosmetyczne: proszek do prania, mydło, papier toaletowy. Dla dzieci na kartki była oliwka, mleko w proszku, pieluszki a dla tych starszych przez jakiś czas nawet artykuły szkolne. Kartki obowiązywały przy zakupie butów, dywanów, benzyny. Szalała inflacja, zarobki szły w tysiące złotych, ale ceny towarów rosły jeszcze szybciej.

W tym czasie byliśmy już od dawna mieszkańcami Piaseczna. Na początku listopada 1964 roku wprowadziliśmy się do mieszkania na osiedlu bloków przy Szkolnej i Kusocińskiego (obecnie Wojska Polskiego). Było to pierwsze w Piasecznie osiedle zbudowane w ramach spółdzielni mieszkaniowej.

Spółdzielnia powstała dzięki inicjatywie pani Wardzyńskiej. Pani Wardzyńska pochodziła z zacnej, ziemiańskiej rodziny mieszkającej gdzieś na głębokich Kresach, była energiczną, odważną kobietą o silnym charakterze. Nie wiem, kiedy zamieszkała w Piasecznie, z jej opowieści pamiętam, że w czasie rewolucji w Rosji spieniężyła cześć dóbr rodzinnych a pieniądze przeszmuglowała do Polski. Niewykluczone, że część z nich przekazała na rzecz piaseczyńskiej spółdzielni.

W nowym mieszkaniu czekały na nas luksusy: podłoga z płytek PCV, łazienka, toaleta, bieżąca woda, centralne ogrzewanie i nie przeszkadzała nam kuchnia węglowa ani bojler, w którym trzeba było grzać ciepłą wodę. Teraz może to brzmieć zabawnie, w ówczesnej sytuacji mieszkaniowej to były wygody.

W ciągu pierwszego miesiąca nie mogliśmy cieszyć się ze wszystkich tych dobrodziejstw, blok nie miał transformatora i nie był podłączony do sieci elektrycznej, bo ktoś zawalił terminy. Mieszkanie oświetlaliśmy lampą naftową. W końcu elektryczność podłączono, ale dla urozmaicenia osiedlowego życia przez lata zdarzały się częste awarie wodociągów, wody nie było tydzień i dłużej. Mąż wpadł wtedy na pomysł, żeby do spłukiwania toalet używać wodę zgromadzoną w dołach po lasowanym wapnie wykorzystywanym do budowy osiedla. Wodę przynosiło się w wiadrach, więc to, że doły były niedaleko od bloku, bardzo ułatwiało życie, poza tym taka woda świetnie wszystko dezynfekowała. Dzisiaj w miejscu dołów po wapnie stoi szereg garaży. Droga po wodę do celów spożywczych była o wiele dłuższa. W podwórkach domów przy ulicy Puławskiej, m. in. tam, gdzie obecnie jest zakład fotograficzny Renau, były studnie i mieszkańcy osiedla biegali z wiadrami po wodę korzystając z uprzejmości właścicieli posesji. Zapotrzebowanie na wodę było duże i zdarzało się, że w pobliskich studniach zaczynało jej brakować, trzeba było wówczas wędrować do kuźni, która znajdowała się w pobliżu obecnego skrzyżowania ulic Puławskiej i Kusocińskiego.

O wiele mniej problemu sprawiały zakupy podstawowych artykułów spożywczych. Na osiedlu był nieduży kiosk z pieczywem i nabiałem. Przez jakiś czas można było zamówić dostawę do domu, był koszyczek, do którego wrzucało się zamówienie i pieniądze, a następnego dnia odbierało towar i resztę. Drugi kiosk był przy Puławskiej, gdzie dziś jest postój taksówek, a za nim stała, pomalowana na biało, jeszcze jedna budka z artykułami spożywczymi. Jej klientami przeważnie byli robotnicy z budowy osiedla. Najczęstszym zamówieniem był zestaw śniadaniowy: śledź wyjmowany przez sprzedawczynię z beczki stojącej w kącie kiosku i zawinięty w papier oraz piwo z butelki kapslowanej jak oranżada. Zimą, żeby lodowatym napojem nie zaziębić gardła, robotnicy wsypywali do butelki sól biorąc ją w palce z ogólnodostępnego talerza.

Janina Niemczyk_Layout 1 2016-12-28 09:23 Strona 76

Piaseczno powoli się rozrastało, ale ludzie nadal byli biedni, jak większość mieszkańców naszego kraju. Trzeba było sobie w tej rzeczywistości radzić. W kwestiach ubraniowych bardzo pomocni byli dobrzy krawcy. Uszycie odzieży sporo kosztowało, więc szukało się tanich materiałów. W jednej z budek przy targowisku sprzedawano materiały tzw. resztki. To były krótkie końcówki materiału, które zostały po wykorzystaniu całej beli. Żeby z tych niewymiarowych fragmentów uszyć na przykład męskie spodnie, trzeba było dobrze się napracować. Mąż uważał, że krawcem, który świetnie sobie z tym radzi jest pan Antoni Roszkowski, który miał pracownię w podwórku przy ul. Sienkiewicza.Mój ojciec wybierał szycie u pana Paprockiego, moją ulubioną krawcową była pani Czesia.

Na rogu ulic Puławskiej i 22 Lipca (obecnie Jana Pawła II) była posesja należąca do parafii, proboszcz rozpoczął tam budowę domu parafialnego i kościoła. W głębi działki zaczęto stawiać kościół, wzniesiono szkielet piętrowego budynku z łukowatymi oknami, ale bez dachu. Od strony Puławskiej powstał jednopiętrowy budynek, na parterze były sale, w których obywały się lekcje, zamiast drzwi w futrynach wisiały grube kotary, na piętrze mieszkała pani Czesia, bardzo dobra, pomysłowa i pracowita krawcowa.

Od tamtego czasu krajobraz wokół starego osiedla zmienił się nie do poznania. Wzdłuż ulicy Wojska Polskiego biegły tory, jechała ciuchcia, parowóz gwizdał i dymił, po drugiej stronie ulicy były sady, ogrody, łąki i przy ciepłej, ładnej pogodzie ludzie tłumnie wylegali tam z kocykami. Gdy kilka lat temu wyprowadzaliśmy się z Piaseczna teren dookoła był zabudowany, a po ogrodach, polach i łąkach nie pozostał najmniejszy nawet ślad.



Janina Niemczyk

z domu Kowalska z mężem Mieczysławem

Wojciech Niemczyk_Layout 1 2016-12-28 09:33 Strona 77

Wspomina Wojciech Niemczyk

Obrazki z Piaseczna

Osiedle przy Szkolnej

Pierwsze bloki na osiedlu przy Szkolnej budowano z cegły, ale nasz i pozostałe były już zestawiane z prefabrykatów żelbetowych, które na potrzeby osiedla produkowano w pobliskim małym przedsiębiorstwie. Wytwórnia znajdowała się na rogu Puławskiej i Szkolnej, dzisiaj w tym miejscu stoi blok, w którym na parterze w latach osiemdziesiątych był Pewex, a jeszcze niedano apteka i sklep spożywczy. To była nieduża, ale profesjonalna wytwórnia z suwnicą bramową i węzłem betoniarskim. Elementy były wylewane, układane partiami, sezonowane i wywożone na teren budowy niedużymi samochodami niskopodwoziowymi, a na placu budowy po torowisku jeździł dźwig wieżowy wznosząc gotowe ściany i stropy na kolejne piętra. Między samochodami i dźwigami konie ciągnęły furmanki, którymi rozwożono lasowane wapno.



Skrzyżowanie ulic Puławskiej i Szkolnej, lata 60/70. XX wieku.
Fot. ze zbiorów Jerzego Duszy

W miejscu, gdzie dzisiaj przy ulicy Kusocińskiego 5 stoją w schodkowym szeregu garaże, były wielkie dwa doły, drewniana szopa, a w niej magazyn wapna palonego. Teren był ogrodzony parkanem z zaoblonych desek. Pracował tam zgarbiony jak scyzoryk pan - dla nas, dzieciaków, wyglądał jak starzec, a pewno wcale nie był stary, tylko miał problemy ze zdrowiem - wsypywał wapno do skrzyni, zalewał wodą z hydrantu, potem gracą mieszał wszystko, odsuwał zastawkę i wlewał do dołu. Gdy wapno już było gotowe, robotnicy ze specjalnego rusztowania łopatami ładowali wapno na furę.

Dla ogromnej większości piaseczyńskich rodzin marzeniem było zamieszkanie na nowym osiedlu ze względu na trudne warunki, w jakich funkcjonowały. Jeden z moich szkolnych kolegów, nieżyjący już Zbyszek Bodych, mieszkał z rodziną w budynkach komunalnych przy rynku. Kilkuosobowa rodzina miała do dyspozycji jedną izbę z kuchnią węglową. Zapamiętałem, że od południowej strony wzdłuż budynku był korytarz, ściana między nim a izbą była oszklona i przez nią światło wpadało do pomieszczenia. Ojciec Zbyszka był kowalem, pracował w kuźni, która była na rogu ulic Wojska Polskiego i 22 Lipca, dzisiaj Jana Pawła II. Przed wojną to była ulica Kościelna i prowadziła przez Wolę Piasecką, bo tak nazywała się ta część obecnego miasta.

W drodze na Chyliczkowską

Zanim przy osiedlu wybudowano szkołę podstawową popularnie nazywaną *piątką* uczyłem się w budynku liceum ogólnokształcącego przy Chyliczkowskiej, w którym wydzielono kilka sal dla podstawówki. Za moich czasów były dwie klasy: pani Banasiak i pani Gudel. Oczywiście, między klasami była ostra rywalizacja.

Do szkoły szedłem Szkolną, potem Młynarską. Tam, gdzie teraz jest bank i PLUS GSM, stał krzyż, był nieduży murowany biały dom oraz długi ogród pełen kwiatów i warzyw. Przy Młynarskiej od strony Puławskiej, po lewej stronie ulicy był tylko jeden dom, do dziś zachowany, piętrowy z czerwonej cegły. Należał do państwa Kozakiewiczów, którzy byli właścicielami piekarni. W podwórzu stała duża stajnia z wielkimi wrotami i olbrzymia studnia z pompą wodną i charakterystycznym urządzeniem do jej uruchamiania. Były to połączone ze sobą dwa dużej średnicy metalowe koła, które ręcznie wprawiało się w ruch, a rozpędzony mechanizm sprawiał, że pompa zaciągała wodę. Władza przejęła piekarnię, budynki mieszkalne i gospodarcze wydzielając pani Kozakiewicz w jej własnym domu małe mieszkanko. Na rogu Warszawskiej i Młynarskiej, po lewej stronie był plac, na którym odbywał się tzw. *świński targ*.

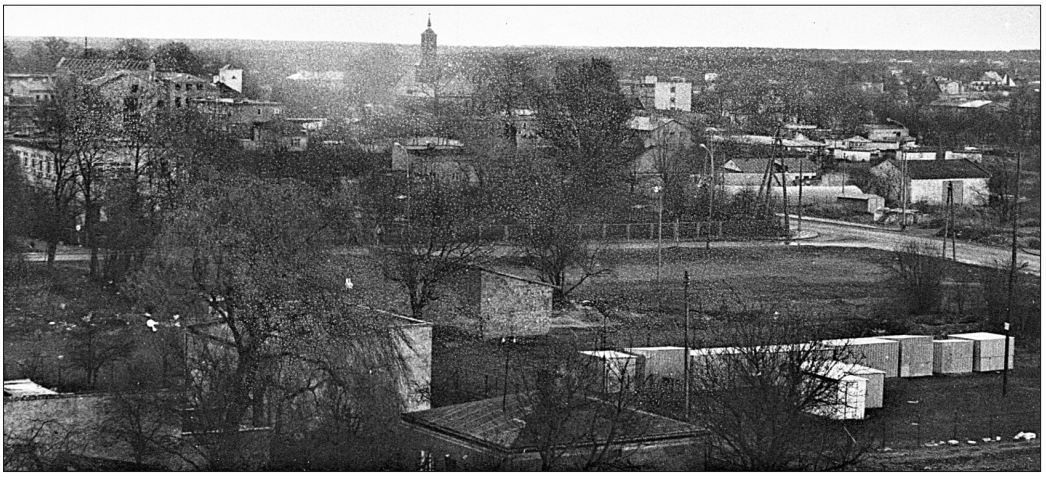
Dalej przy Młynarskiej stały jakieś stodoły a jeszcze dalej, gdy minęło się boczną ulicę Królewskie Lipy, zaczynały się czereśniowe sady. Dzieciaki biegały tam na początku maja i czerwca na czereśnie. Napychaliśmy się wczesnymi owocami a potem nas brzuchy bolały. Dziś na miejscu sadów stoi osiedle Młynarska. W drodze do szkoły nie docierałem do sadów, wcześniej skręcałem w ulicę Królewskie Lipy i zaraz przy skrzyżowaniu mijałem posesję, stojącą na tyłach boiska szkoły sióstr pasterzanek. Był to nieduży dom, którego pilnował groźny pies. Kiedyś wracałem ze szkoły i tak energicznie machałem workiem, że poleciał mi za ogrodzenie tego domu. Bałem się psa, więc poszedłem po pomoc do mamy. Wróciliśmy razem, gospodarze psa schowali, ale do nas nikt nie wyszedł, nie zagadał. To był czas, gdy ludzie nie ufali obcym, a my byliśmy przyjezdni, co prawda z niedalekiego Głoskowa, ale kto o tym wiedział.

Wojciech Niemczyk_Layout 1 2016-12-28 09:33 Strona 79

Szkoła Piątka

W 1965 klasa pani Banasiak została przeniesiona do nowo wybudowanej piątki. Szkoła była otoczona sadami, a w pierwszym roku jej funkcjonowania ulicą tuż obok ciuchcia jechała. Zdaje się, że pierwszym dyrektorem szkoły był pan Zimecki, a w późniejszym czasie pani Żeglińska, żona cenionego w Piasecznie doktora Żeglińskiego, To była wspaniała kobieta, doskonały pedagog, potrafiła być surowa, ale nie groźna, nigdy nie odmawiała pomocy, była lubiana i szanowana przez uczniów. Lubiana była też pani ucząca języka rosyjskiego. Starsza kobieta, spokojna, potrafiła zjednać sobie uczniów, zachęcić do nauki nieakceptowanego wówczas języka. Tych, którzy mieli problemy z nauką zapraszała do siebie do domu na nieodpłatne korepetycje.

W szkolną rutynę wdzierała się czasem proza życia i dochodziło do zabawnych sytuacji. To był czas, gdy kobiety nosiły pończochy. Gdy w pończosze poleciało *oczko*, a bywało to dość często, oddawało się ją do punktu repasacji i czekało kilka dni na naprawę. Zdarzyło się, że nauczycielce podczas lekcji w pończosze *oczko* poleciało, co scenicznym szeptem obwieściła koleżanka siedząca w pierwszej ławce. Pani, młoda, ładna, elegancko ubrana w wąską spódniczkę przed kolano, zarumieniła się i zakłopotała. Koleżanka, widać zaradna osoba, powiedziała, żeby pani pończochę ściągnęła, a ona odniesie ją do punktu repasacji i niedługo będzie po kłopocie. Nauczycielka nie mogła zostawić nas w klasie bez opieki, więc dyskretnie odpięła tę nieszczęsną pończochę przez spódniczkę, koleżanka chyłkiem opuściła szkołę a przed zakończeniem lekcji była już z powrotem. Okazało się, że blisko szkoły jej ciotka prowadziła punkt repasacji pończoch i dlatego możliwa była błyskawiczna naprawa niezbędnej części garderoby.



Piaseczno, widok na ul. Jana Pawła II i ul. Wojska Polskiego, lata 80. XX wieku.
Fot. Tadeusz Tyszka



Wojciech Niemczyk

Tadeusz Rudnicki_Layout 1 2016-12-28 09:41 Strona 80

Tadeusz Rudnicki_Layout 1 2016-12-28 09:41 Strona 81

Wspomina Tadeusz Rudnicki

Byliśmy wtedy tacy młodzi

W roku 1947, po trudnej wojennej tułaczce, moja rodzina osiedliła się w Zalesinku i zacząłem naukę w Liceum im. Emilii Plater w Zalesiu Dolnym. W tamtym czasie w *Platerówce* uczyła się większość młodzieży z Piaseczna, Zalesinka, Zalesia Dolnego i Górnego. W mieście szkoły średnie dopiero się kształtowały. Po wyzwoleniu zajęcia dla dzieci i młodzieży odbywały się w szkole przy ulicy Świętojańskiej, potem *zawodówka* i powstałe w 1946 roku liceum gnieździły się wspólnie w budynku przy ulicy Zgoda, w którym był jeszcze dom dziecka. Warunki lokalowe nie były łatwe zarówno dla nauki jak i rozwoju sportu. W *Platerówce* nie było lepiej, uczyliśmy się w budynku nazywanym barakiem z czterema salami lekcyjnymi i salą gimnastyczną o wymiarach pięć na pięć metrów kwadratowych, ale tuż obok mieliśmy Górki Szymona, Jeziorkę, las, a przede wszystkim prowadziła nas doświadczona kadra nauczycielska. W piaseczyńskich szkołach także byli doskonali nauczyciele, ale *Platerówka* miała za sobą świetną tradycję.



Otwock, rok 1949, Mistrzostwa Powiatu Warszawskiego, rok 1949, rząd pierwszy, od lewej: Nader(za dziewczyną w białej sukience), Włodzimierz Goliszewski, nn, stoją: Andrzej Krychowski, Kyrc, Toni Rudnicki; rząd drugi, od lewej siedzą: nn, nn, nn, Sośnicki, Tadeusz Warsza, Andrzej Zamoyski, Kaczmarczyk, Hauzer

Fot. archiwum Tadeusza Warszy

Nasza szkoła powstała w Warszawie w 1865 roku jako pensja dla panienek z dobrych domów, w Zalesiu pierwszy budynek szkolny wybudowano ze składek rodziców na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej, w czasie okupacji nauka odbywała się w ramach tajnego nauczania. Tuż po wyzwoleniu dyrektorka szkoły, Emilia Szteinbokówna, dostała od władz pozwolenie na otworzenie szkoły koedukacyjnej i w marcu 1945 roku zaczęły się zajęcia. W szkole uczyli przedwojenni profesorowie z Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu Warszawskiego, część z nauczycieli miała za sobą trudną wojenną przeszłość, pamiętam, że Janina Znamirowska, wspaniała polonistka, była więźniarką obozu w Ravensbrück. Zajęcia wychowania fizycznego dziewcząt prowadziła Józefa Kiljan, na którą w szkole mówiono *Sprężyna*, chłopców uczyli Zenon Paruszewski i Hieronim Zarzycki.

Platerówkę zacząłem z wieloma umiejętnościami sportowymi. W czasie wojny przez długi czas mieszkaliśmy w Lublinie, biednie było jak wszędzie, trudno się żyło jak wszędzie. Tworzyliśmy z kolegami z ulicy *paczkę* i nie wiadomo, czym byśmy się zajmowali, gdyby nie przedwojenny nauczyciel wychowania fizycznego. W tajemnicy, bo rzecz była przez Niemców zakazana, na przedmieściach Lublina prowadził z nami zajęcia sportowe. Nauczył mnie dobrze pływać, nurkować, jeździć i skakać na nartach, grać w siatkówkę i hokeja. Te dziedziny sportu stały się moją pasją.

Narciarstwo

Zimą mało kto nie dojeżdżał do *Platerówki* na nartach. Mieliśmy najprostsze drewniane deski z rzemiennymi wiązaniami kupowane z tzw. demobilu, młodsze dzieciaki jeździły na nartach wykonywanych domowymi sposobami z desek po starych beczkach. Wcale nam ta jakość sprzętu nie przeszkadzała. Po lekcjach zakładało się na nogi deski i dopóki było jasno szaleliśmy na Górkach Szymona. W tamtych czasach Górki były o dobre pięć metrów wyższe i nie takie płaskie jak dzisiaj, wykorzystywaliśmy naturalne wniesienia podwyższając je śniegiem i już była skocznia. W tamtym czasie dostałem od kolegów przydomek *Toni*, bo stwierdzili, że jeżdżę na nartach jak bardzo dobry austriacki zawodnik Toni Zajler.

W marcu, na świętego Józefa, nauczyciele organizowali coroczny bieg narciarski. Przyjeżdżali uczniowie z warszawskich liceów: z *Batorego* i *Hoffmanowej*. Startowało się spod *Platerówki*, potem trasa prowadziła ulicami Zalesia, które nie było tak zabudowane jak dzisiaj, przez Górki Szymona a meta była pod szkołą. Nie było żadnych posiłków regeneracyjnych, gorącej herbaty, zabawy po biegu. Nikt wtedy nie myślał o takich rzeczach. Myśmy cieszyli się, że startujemy.

Z tych najlepiej jeżdżących w sposób samorzutny powstała grupa narciarska. Pierwsze zawody w jakich uczestniczyliśmy to był zdaje się Puchar Nizin w 1949 roku, wyścigi narciarskie odbywały się na terenie warszawskiego AWF-u i osiągnęliśmy dobre wyniki. Potem były zawody na skoczni narciarskiej na Agrykoli. Do uczestnictwa w nich Warszawski Okręgowy Związek Narciarski wytypował Andrzeja Zamoyskiego i mnie. W skokach narciarskich Andrzej zajął wtedy drugie miejsce, ja pierwsze.

W 1956 roku już jako grupa narciarska pod opieką Habacińskiego pojechaliśmy na obóz do Zakopanego. Nie wiem, jak to się stało, skąd były pieniądze, ale mieliśmy wtedy wyjątkowo luksusowe warunki. Mieszkaliśmy w Centralnym Ośrodku Sportu *Imperial* a razem nami była tam polska kadra kolarzy. W tym czasie odbywał się kolarski Wyścig Dookoła Egiptu, w którym walczyło pięciu

polskich szosowców i była nadawana radiowa relacja z przebiegu zawodów. Tak się złożyło, że tylko ja miałem małe radio tranzystorowe i najsłynniejsi kolarze m. in. Królak, Hadasik przychodzili do nas do pokoju transmisji słuchać. To był dla nas powód do radości. Cieszyliśmy się też z tego, że dostaliśmy prawdziwe *biegówki* i do nich specjalne obuwie. Większość z nas miała pierwszy raz na nogach profesjonalny sprzęt. Na treningi chodziliśmy z hotelu na Cyrlę. Pierwszego dnia po przyjeździe spadł śnieg sięgający niemal po pas. Trener wyznaczył nam na Cyrli pięciokilometrową trasę i trzeba było ją przed zjazdami przetrzeć. Po kilku godzinach wróciliśmy do hotelu i pamiętam, jak Andrzej Zamoyski zasnął w trakcie picia mleka z butelki. Tacy byliśmy zmęczeni.

Raz byliśmy na Kasprowym i zjeżdżaliśmy na Halę Gąsienicową. Dzień był mglisty, Tadek Warsza z Andrzejem Zamoyskim zaczynają zjazd i słyszymy, jak Habasiński pełnym głosem wrzeszczy *Tadek! Andrzej!* Dobrze, że koledzy usłyszeli ten krzyk i zatrzymali się w drodze, bo przed nimi, niewidoczna we mgle, była przepaść zabezpieczona jedynie cienką żerdką. Innego dnia zjeżdżaliśmy na Goryczkową i Joaśka Gromek złamała nartę. Kilka godzin z Goryczkowej szła piechotą do Zakopca.

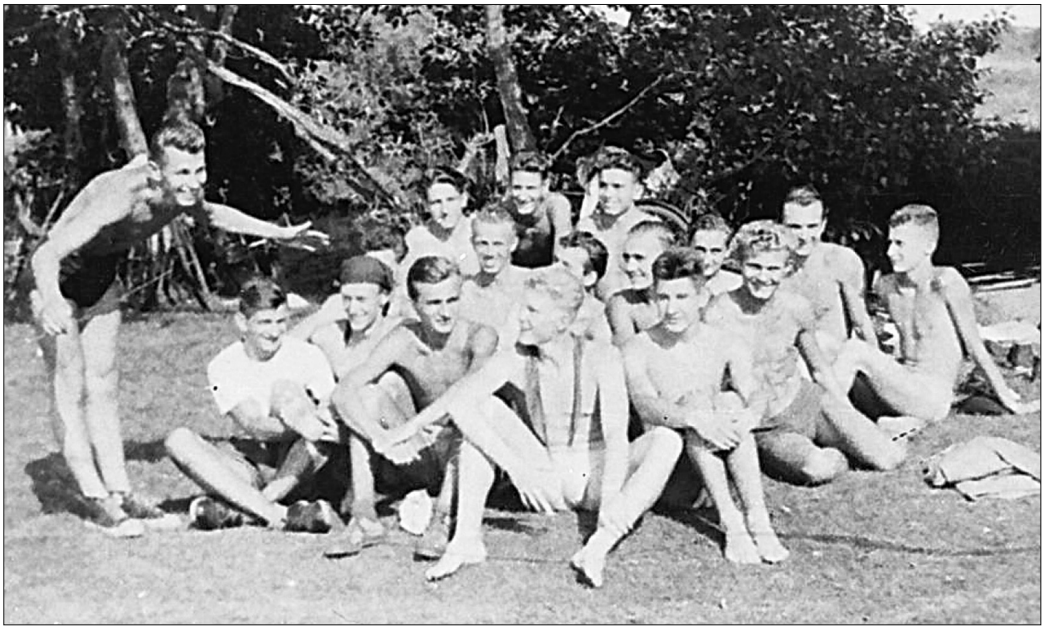
Po tym obozie braliśmy udział w Mistrzostwach Województwa Warszawskiego i zajęliśmy wszystkie pierwsze miejsca.

Pływanie

Od maja, a czasem już i w kwietniu, zależnie od pogody, gdy kończyły się lekcje, kto mógł szedł nad Jeziorkę, żeby popływać, w niedzielę przychodziła tam cała nasza paczka, chyba ze czterdzieści osób się zbierało. Naszym ulubionym miejscem był tzw. cypel, a że nad Jeziorkę przychodziło wtedy chyba całe Piaseczno i okolice, żeby nikt nam plaży nie zajmował wyznaczone były dyżury. Dwie - trzy osoby przychodziły wcześniej i rozkładały koce, zajmując miejsca dla całej paczki. Którejś niedzieli jako pierwsi przyszli Tadek Warsza, Waldek Kitlicz, była Danka Rowińska i Wojtek Skalski. Rozłożyli koce, a Tadek, jako że zawsze energii miał dużo, skakał z drzewa do wody. Nie wiadomo skąd pojawiło się trzech obcych chłopaków w naszym wieku i kazali Tadkowi przestać, bo niszczy przyrodę. Reakcja Tadka była łatwa do przewidzenia - skoczył jeszcze raz. Gdy wychodził z wody jeden z tych chłopaków chciał go uderzyć. Reakcja Tadka była łatwa do przewidzenia – oddał, a napastnik poleciał na ziemię. Akcja się rozwijała, do pomocy Tadkowi skoczył Waldek i byliby sobie poradzili, gdyby nie to, że groblą na ratunek swoim biegło chyba ze dwudziestu obcych chłopaków uzbrojonych w noże. Tadek dał nura w trzciny a Waldek drugą stroną grobli wyrwał do lasu na *Różankę*. W tym czasie zaczęła się schodzić nasza paczka i tamci odpuścili. Dowiedzieliśmy się potem, że to byli chłopcy z Dolnego Mokotowa, którzy dzień wcześniej byli na odpuście św. Rocha w Jazgarzewie, tam dostali łomot, przyjechali się zemścić a nad Jeziorką znaleźli się przypadkiem. To była jedyna taka nieprzyjemna sytuacja, poza nią na cyplu był spokój i mogliśmy opalać się i pływać do woli.

Można powiedzieć, że podczas tych spotkań nad Jeziorką z racji wiedzy i umiejętności w jakiś sposób trenowałem swoich przyjaciół. Robiliśmy zawody na trasie od upustu do zakrętu i z powrotem. Ja miałem swoją ulubioną trasę od kościoła w Jazgarzewie do upustu, potem był skok na główkę z poręczy, wypływałem przy moście, odbijałem się od zastawu i wracałem pod prąd do Jazgarzewa. Dobrze wtedy pływałem, miałem nawet uprawnienia instruktorskie do prowadzenia kursów dla ratowników, w latach pięćdziesiątych byłem szefem dla całego terenu warszawskiego Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Tadeusz Rudnicki_Layout 1 2016-12-28 09:41 Strona 84



Piaseczno, lata pięćdziesiąte XX w., plaża nad Jeziorką. Przyjacielski chór *Karamba* w składzie: rząd pierwszy, siedzą od lewej: Drewnowski, Wojtek Burz, nn, Janek Paradowski, Bogdan Piwarski, Andrzej Zaleś Zalewski, rząd drugi, szedzą od lewej: Andrzej Zamoyski (z nakrytą głową), Jurek Wesołowski, nn, Wojtek Maślankiewicz, Romek Łoziński, rząd trzeci, siedzą od lewej: nn, Maciek Piekarski, nn, dyryguje Tadek Warsza
Fot. archiwum Tadeusza Warszy

Któregoś roku Zrzeszenie Kolejarzy organizowało zawody pływackie, pojechaliśmy jeszcze jako nieformalna grupa, zajęliśmy wysokie miejsca, a najlepsze były dziewczyny. Wtedy zainteresował się nami Powiatowy Komitet Kultury Fizycznej, którego szefem był Marek Strzyżek. Zafundowali nam nad Jeziorką baraczek na przebieralnie, po latach w tym miejscu zbudowano pomost, była kawiarnia, wypożyczalnia kajaków, ale to już był czas, gdy trenowaliśmy w Chylicach.

Jako Klub Sportowy Ruch Kolejarz braliśmy udział w zawodach pływackich, z których większość odbywała się na basenie Polonii, często sędziowała nam moja przyszła żona Hania Chylakówna.

Z dziewczyn świetne wyniki miały m.in. Ata Szczęśniewska, Gołębiowska, Pęczkowska, Szymańska, siostry Łuczakówny, z chłopaków: Andrzej Zamoyski, Lenart, Kulig, Rytka i ja.

Siatkówka

Konkurencją dla pływania była siatkówka. Często po lekcjach na boisku przed szkołą odbywały się mecze *siatki* i zwykle był podział na drużyny piaseczyniaków i zalesiaków. Graliśmy też na boisku nad Jeziorką, w czasie przerwy wskakiwaliśmy do rzeki na kąpiel i wracaliśmy do gry. To były mecze na dobrym poziomie, szczególnie wyróżniali się chłopcy, w 1950 powstała męska drużyna, jedna z najsilniejszych na Mazowszu. Z *Platerówki* grali w niej Zarzycki, Zamoyski, Kitlicz, Tadek Gerber, Jurek i Jasio Wojciechowscy, Janusz Mulewicz, Tadzio Warsza, a dość szybko dołączył do nich Bogdan Micza. Boguś przyjechał do Piaseczna na praktykę nauczycielską w latach pięćdziesiątych, potem został dyrektorem liceum na Chyliczkowskiej,

za jego czasów to była szkoła na bardzo dobrym poziomie. Na początku swego pobytu w Piasecznie podszedł do grających w siatkę naszych chłopaków, powiedział: *Boguś jestem. Mogę z wami zagrać?* I już został.



Piaseczno, lata pięćdziesiąte XX w., rząd pierwszy od prawej siedzi: Stanisław Zwierzyński (w czapce na głowie), obok leży Balikosiu Balikowski, nn, nn, Tadeusz Kyrc, nn; rząd drugi od prawej siedzą: Gucio Potocki (za Zwierzyńskim), Andrzej Zamoyski, Ryszard Nader, nn, nn, Czesław Bogdański, Tadek Warsza; rząd trzeci od prawej: nn, Kazimierz Kaczmarczyk, Basia Goraj, Tadek Toni Rudnicki, Kłosek Kłosowski; stoją od prawej: Jan Zieliński, nn, Artych, nn, Stefan Hauzer, nn, Wojtek Burz, Sośnicki, Andrzej Krychowski, nn.
Fot. archiwum Tadeusza Warszy

Grali z zespołami z Wołomina, Żyrardowa, Pruszkowa, szczególnie z Wołominem toczyli zażarte boje. Początkowo mecze odbywały się na powietrzu, bo nie było odpowiedniej sali i kiedyś w deszczu grali z Wołominem. Mecz był ciężki, ale wygrali.

W 1956 roku Federacja Klubów Kolejowych przyznała sekcji etat trenerski, zatrudniono Andrzeja Zarzyckiego, który jednocześnie był zawodnikiem drużyny. Siatkarze zaczęli treningi w sali Szkoły Ruchu Drogowego Milicji Obywatelskiej w Iwicznej, tam też odbywały się mecze, na które tłumnie przychodziła publiczność. Po pięciu latach z powodów finansowych działalność sekcji została zawieszona.

Lubiłem grać w siatkówkę, ale w tym czasie pochłonął mnie hokej i udzielałem się w *siatce* od czasu do czasu, gdy brakowało w drużynie zawodnika.

Lekkoatletyka

Sekcję lekkoatletyczną powołano przy KS Ruch Kolejarz w latach pięćdziesiątych, w tym czasie jej kierownikiem był Jan Zieliński, któremu piaseczyński sport wiele zawdzięcza. W latach międzywojennych był jednym z założycieli koła sportowego Victoria, przekształconego w Towarzystwo Gimnastyczne *Sokół*, w którym w latach trzydziestych pan Zieliński pełnił funkcję

naczelnika sportu. Był czynnym sportowcem – grał w piłkę nożną i uprawiał biegi. Lubiłem słuchać jego opowieści o dawnych czasach. To między innymi od niego wiem, że w czasie okupacji w Piasecznie odbywały się nielegalne spotkania piłkarskie. Kiedyś na takie spotkanie jechali krakowscy piłkarze Wisły. Z pociągu mieli wysiąść w Zalesiu Górnym, ale jakoś tak wesoło im się gadało, czy *po kielichu* wypili i część drużyny znalazła się na dworcu w Piasecznie. Idą chłopcy peronem do wyjścia, każdy beztrosko niesie buty piłkarskie przewieszone przez ramię i zatrzymuje ich patrol niemiecki, zaczyna ostro wypytywać skąd są, gdzie idą. Wtedy jeden z piłkarzy, który dobrze znał język niemiecki powiedział: *Dzisiaj gramy sparing z waszymi żołnierzami, przecież powinniście o tym wiedzieć*. Jakimś cudem Niemcy uwierzyli i pozwolili im wyjść z dworca. Potem był mecz w Gołkowie, w miejscu gdzie dziś jest szkoła. Drużyny grały, a dla bezpieczeństwa rozstawione były czujki, które miały alarmować, gdyby pojawili się Niemcy.

Innym razem na stadionie odbywał się mecz ligi piaseczyńskiej, czujki wystawione jak trzeba i padł sygnał, że Niemcy nadjeżdżają. Rzeczywiście, widać najeżdżające auto żandarmerii niemieckiej. Wszyscy w nogi, chowają się po krzakach, samochód podjeżdża bliżej i słychać z niego wołanie: *Nie uciekajta, dyć to jo!* Kierowcą był wsadzony do żandarmerii na siłę Ślązak, który chciał po prostu na mecz popatrzeć.



Płock, lata pięćdziesiąte XX w., zawody sportowe, od lewej: Wojtek Maślankiewicz, Obuchowicz (z Czerska), Tadek Warsza, Jacek Czumer

Fot. archiwum Tadeusza Warszy

Wszystkie okupacyjne piłkarskie spotkania, a było ich sporo, organizował Tadeusz Jaroszyński, mało że organizował, to jeszcze w swojej restauracji żywił przyjezdnych i dawał im noclegi. Zieliński o sobie nie opowiadał, ale i on w tym wszystkim brał udział. Po wojnie Jaroszyński piaseczyńskich juniorów piłki nożnej prowadził, jeździł z nimi na mecze a potem obiad fundował. Zieliński czuwał nad sprzętem, naprawiał piłki, prał stroje, reperował buty, jeździł na zawody ze sportowcami, dziewczynom, które startowały na mistrzostwach województwa w lekkoatletyce w Płocku w nagrodę za wygraną tort kupił. To był uczciwy, porządny, pracowity i dobry człowiek do końca życia ze sportem związany. Niezwykły piaseczyński szewc.

W młodszym pokoleniu podobnym zapaleńcem był wychowanek *Platerówki* Andrzej Krychowski. To on zorganizował pierwsze powojenne zawody lekkoatletyczne w Piasecznie.

A nasze pierwsze wyjazdowe zawody miały miejsce w 1949 roku. To były zawody powiatu warszawskiego, odbywały się w Otwocku.

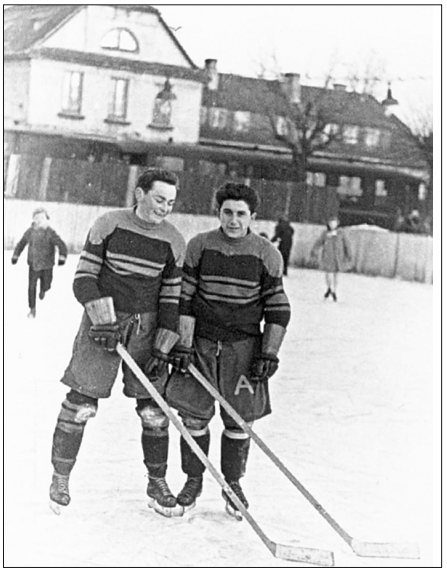
Dobrze zapamiętałem Mistrzostwa Polski w październiku 1956 roku odbywające się w Przemyślu. Tadek Warsza, mimo że nie miał warunków fizycznych, świetnie poradził sobie wtedy w rzucie młotem. Gdy zawodnicy wyszli na prezentację, to publiczność trochę się śmiała, bo Tadek był najniższy i najszczuplejszy, przy pierwszym rzucie młot poleciał na bieżnię a Tadek na siatkę, ale potem było coraz lepiej i wywalczył siódme miejsce. Jakoś tak się stało, że w Przemyślu zostaliśmy z Tadkiem dzień dłużej i nie mieliśmy już biletów na pociąg. Jechaliśmy *na gapę* pod ławką, był październik, ogrzewanie działało i byliśmy czarni jak kolejarze. W Lublinie była przesiadka, na dworcu usłyszeliśmy, że w Warszawie będzie wiec, na którym przemówi towarzysz Władysław Gomułka. Prosto z pociągu poszliśmy pod Pałac Kultury i pamiętam, jak siedzieliśmy na kandelabrach stojących na dziedzińcu a wokół widać było tysiące ludzkich głów.

Hokej

Chyba najdłużej działała sekcja hokejowa. Zaczęło się jak zawsze od amatorskich spotkań pasjonatów sportu. Jedna drużyna hokejowa to byli ludzie z *Platerówki*, druga uczniowie szkół w Piasecznie. Ci z *Platerówki* jeździli zwykle na rozlewisku Jeziorki albo na stawach Maciążka w Żabieńcu, piaseczynianie grali na stawie Chyliczkowskim albo na rozlewisku przy ulicy Pomorskiej, ale nikt nie trzymał się sztywno tych podziałów. Sprzęt robiliśmy własnoręcznie - kije z zakrzywionych gałęzi, symboliczne bramki z butów. Jeśli były dwie drużyny prędzej czy później musiały rozegrać wspólny mecz. Graliśmy na stawie w Chyliczkach, publiczności było dużo, emocje jak na rozgrywkach ligowych. Ja wtedy grałem na bramce w drużynie piaseczyniaków i niewielką przewagą wygraliśmy. A po meczu doszliśmy do wniosku, że trzeba połączyć siły i stworzyliśmy silną drużynę pod opieką Klubu Sportowego Ruch Kolejarz.

Lodowisko w Piasecznie przy ulicy Kopernika/ Kniaziewicza, w tle budynek dworca Ciuchci.

Fot. archiwum prywatne



Treningi mieliśmy na rozlewisku przy Pomorskiej, po jakimś czasie zaczęliśmy jeździć na Torwar. Środkiem transportu był kryty plandeką samochód ciężarowy udostępniany nam przez pana Grabowskiego, właściciela rozlewni oranżady w Piasecznie. Mieliśmy przyznany czas w późnych godzinach wieczornych, więc powrót był koło północy, a następnego dnia czekały nas normalne obowiązki: praca, szkoła, rodzina. Jakoś to wszystko łączyliśmy.

Pierwszy mecz rozegraliśmy z drużyną z Góry Kalwarii na rozlewisku przy Pomorskiej. W zespole byli wtedy Niuniek Chrostkiewicz, Wiesiek Kloc, Marian Roszkiewicz, Tadek Warsza, Kazik Pindelski, ja stałem na bramce. Jako drużyna Kolejarza mieliśmy już lepszy sprzęt, a bramki były prawie profesjonalne, wykonane w warsztatach wąskotorówki, gdzie pracowałem jako kierownik warsztatów naprawczych parowozowych i motorowych. Były prawie profesjonalne, bo brakowało im siatki. Nie pamiętam, w czasie którego meczu za taką bramka stała siostra Kazika Kaczmarczyka i dostała krążkiem aż łuk brwiowy miała rozcięty.

Byliśmy dobrą drużyną, awansowaliśmy nawet do III Ligi, ale warunkiem uczestnictwa było posiadanie własnego oświetlonego boiska. Władze miasta udostępniły nam pod lodowisko plac naprzeciwko kolejki, Niuniek Chrostkiewicz był geodetą, wymierzył i przygotował teren do niwelacji, przy wyrównywaniu ziemi pracowali wszyscy z drużyny, pomagali kibice. Od miejskiej rady narodowej dostaliśmy pieniądze na deski na bandy i sami je zrobiliśmy. Koledzy z wąskotorówki w Pruszkowie załatwili stary wagon sypialny, który stał u nich na bocznicy.

Wagon pozbawiony całego wyposażenia wsadzili dźwigiem na szerokotorowy wagon towarowy, przywieźli do nas na stację przeładunkową, skąd na lorze przetransportowaliśmy go na boisko. W wagonie było pomieszczenie dla osoby dyżurującej, mała kuchenka i szatnia podzielona na części dla swoich i gości. Nawet woda była z kolejki poprowadzona, rury ciągnęliśmy pod torami między kursami pociągów, bo przecież nie można było wstrzymać ruchu. Kolejka zrobiła też oświetlenie podłączając agregat prądotwórczy, i mieliśmy najlepiej oświetlone boisko w całym okręgu warszawskim, a było tam chyba dwadzieścia sześć drużyn.



Gostynin, lata pięćdziesiąte XX w., Mistrzostwa Województwa, od lewej leżą: Andrzej Zamoyski, Tadek Warszawski; od lewej siedzą: Stefan Hauzer, Andrzej Zarzycki, Janusz Mulewicz
Fot. archiwum Tadeusza Warszy

Pierwszy mecz na lodowisku rozegraliśmy z Legią Warszawa, goście wygrali sześć do czterech. Mecz był wydarzeniem w Piasecznie, ale każdy następny też przyciągał kibiców.

Starsi ludzie do dziś wspominają, jak mecze oglądało się z drzew i z podwójnych rozstawianych drabin, trybunami były hałdy śniegu usuwanego z boiska, jak przychodziło się na lodowisko i pomagało hokeistom bandy naprawiać, ale o utrzymanie lodowiska w porządku dbaliśmy już sami. Treningi kończyliśmy wieczorem koło godziny dziewiątej - dziesiątej, potem pokruszony lód trzeba było kocem dokładnie ściągnąć z tafli i zalać ją wodą. Chłopcy żartowali, że na lodowisku jestem za dnia i w nocy, bo polewanie wodą do mnie należało i często po północy do domu wracałem.

Hokej, jak każdy sport, a szczególnie gry kontaktowe, wiąże się z kontuzjami i urazami.

Graliśmy w Nowym Dworze, stałem na bramce, poszedł w moim kierunku krążek, poczułem ból i jak mi koledzy opowiadali, nos mi się na policzku znalazł. Sędzia zarządził dwadzieścia minut przerwy, opatrzyli mnie i wyszedłem na taflę z bułą bandaży na nosie. Mecz się zaczął, Tadek Warsza poszedł z krążkiem na ich bramkarza i po chwili tamten miał nos na policzku. To nie było złośliwie, wtedy grało się bez masek na twarzy. Nasze połamane nosy nie należały do najcięższych obrażeń. Bramkarze tracili wzrok, zęby, pędzący z prędkością 150 km na godzinę krążek potrafił wybić szczękę, spowodować wstrząs mózgu, pęknięcie kości policzkowej, uderzenie w krtań mogło doprowadzić do uduszenia. Na liście możliwych obrażeń były rozcięcia twarzy łyżwą przeciwnika czy kolegi.



Żabieniec, lata pięćdziesiąte XX w., stawy Maciążka, od lewej: Polkowski, nn, Gozdowski, Piekarski, Jurek Wesołowski, Andrzej Zamoyski, Tadeusz Warsza, Piekarska,
Fot. archiwum Tadeusza Warszy

Po tamtym meczu wymyśliłem, że będę robił maski bramkarskie dla hokeistów i byłem jednym z pierwszych w Polsce, który je wykonywał. Najpierw każdy chętny musiał nałożyć warstwy gazy na posmarowaną grubo wazeliną twarz i zanurzyć ją w gipsie, żeby zrobić odcisk. Potem na gips kładłem warstwy z włókna szklanego oraz żywicy, wycinałem otwory na oczy i wszystko schło kilka dni. Ostatni etap polegał na odłączeniu gipsu i wyczyszczeniu brzegów maski. Wykonywałem też kaski, bo początkowo, tak jak wszyscy hokeiści, graliśmy bez kasków. Zakładało się na głowę, co kto chciał. Czumer nosił czerwoną czapeczkę z pomponikiem i gdy za długo na lód nie wychodził, to publika skandowała: *Mikołaj na lód!*. *Anaciu*, czyli Janek Dąbrowski, zwykle miał na głowie berecik. Kiedyś podczas meczu tylko wyszedł na lód i berecik spadł mu z głowy. *Anaciu* chwycił beret w zęby, rozpędził się, wpadł na bandę i wyłożył jak długi. Publika w śmiech. *Anaciu* złapał krążek, a że grał w nogę, to w ferworze walki zamiast kijem, nogą krążek kopał. Podjechał do bramki, bramkarz ze śmiechu nie mógł się ruszyć i *Anaciu* nogą strzelił pięknego gola. Bramki nie uznano, ale ryk radości na widowni był nieziemski.

Z publicznością to różnie bywało, nie zawsze przyjemnie. Szczególnie potrafili się dać we znaki kibice, co przy bandzie stali. Na meczu w Siedlcach *Anaciu* pędził przy bandzie i któryś z kibiców zaczepił go rączką od parasola, chłopak runął na lód, przejechał po nim z dziesięć metrów, zerwał się i ze złości zaczął kijem okładać tych, co najbliżej stali.

Jeździliśmy na mecze do Grodziska Mazowieckiego, Żyrardowa, Pruszkowa, Płocka.

Kiedyś jechaliśmy pociągiem na mecz właśnie do Płocka, mieliśmy przesiadkę na stacji w Kutnie. Było tam jakieś opóźnienie i spóźniliśmy się na mecz ponad dwie godziny. Spotkanie, które przegraliśmy, zakończyło się po dwudziestej drugiej a pociąg powrotny był koło godziny czwartej rano. Mieliśmy pieniądze na hotel, ale gdzie o tej porze w nieznanym mieście szukać hotelu i ładować się do niego na kilka godzin! Poszliśmy więc do pobliskiej restauracji Pod strzechą. Lokal już zamykano, ale jak się tyle chłopa wsypało, to zmieniono zdanie. Kelnerzy złączyli stoły, podali alkohol i coś na zakąskę, Niuniek Chrostkiewicz zarządził: Juniorzy siadają przy końcu stołu i nie piją. Muzycy z orkiestry poszli do domu i dobrze, bo Niuniek usiadł przy fortepianie, Wiesiek Kloc przy bębnie a Tadek Warsza leżał na plecach na podium orkiestry, nogi zwisały mu do podłogi i grał na organkach. Gdy wychodziliśmy kelner powiedział z uznaniem w głosie, że jak żyje takich gości jeszcze nie miał.

I z tej restauracji w centrum miasta ruszyliśmy na piechotę na dworzec kolejowy, a do przejścia mieliśmy ze trzy kilometry. Co to dla nas były trzy kilometry, nawet zimą, ale bagaż nie ułatwiał marszu. Sprzęt woziliśmy wtedy w walizkach, zawieszaliśmy je na kijach trzymanych na ramieniu, walizka obijała się o plecy, ale i tak było wygodniej niż dźwigać ją w ręku. Bramkarz, czyli ja, dodatkowo niósł parkany (ochraniacze na nogi), kufajkę z ochronnymi plastikowymi naszywkami i kask. Z przesiadką w Kutnie dojechaliśmy około południa do Warszawy, zmęczeni, niewyspani i co tu kryć, na lekkim kacu. Chyba ja najmniej odczuwałem te przykre dolegliwości, bo miałem swój zaczarowany kubeczek. Wykonany był z gumy i gdy przy rozlewaniu napoju zaciskałem na nim rękę niewiele miejsca zostawało na płyn. Długo trwało, zanim się koledzy zorientowali w sytuacji. Na dworcu w Warszawie mówię do chłopaków: Panowie, ale dziś o osiemnastej jest trening. Wszyscy przyszli.

Zrezygnowałem z trenowania hokeistów w 1955 roku przekazując ich w dobre ręce - trenerem został Stanisław Antuszewicz nazywany, tak samo jak jego sławny brat Michał, Mandżurem.

Przydomek wziął się stąd, że rodzina Antuszewiczów w 1949 roku wróciła do Polski z Mandżurii, do której los rzucił ją czterdzieści lat wcześniej.

Przestałem być trenerem, ale jeszcze trzy lata grałem w drużynie. Po zwycięskim meczu ze Zniczem Pruszków dostaliśmy z Tadkiem Warszą propozycję przejście do Znicza. Zgodziliśmy się, ale to nie była dobra decyzja. Graliśmy tam tylko rok. Tadek wrócił do Piaseczna, zaczął trenować drużynę i dość szybko zaczęli znów wygrywać mecze, ale i tak sekcję hokejową rozwiązano. Ja przez jakiś czas trenowałem drużynę hokejową w Baniosze.

W 1964 roku z Tadkiem Warszą zrobiliśmy kurs trenerski, zajęcia odbywały się na Torwarze, uczyli nas trenerzy i wykładowcy z Czech, potem zostałem powołany przez Polski Związek Hokeja na Lodzie jako trener i koordynator grup młodzieżowych, jednocześnie prowadziłem Warszawski Ośrodek Doskonalenia Hokeja. Z moją drużyną wyjeżdżaliśmy na mecze do Czechosłowacji, Austrii, Francji, Finlandii, ZSRR. Pracowałem wtedy w *Zelosie*, brałem w pracy urlop bezpłatny i jechaliśmy.

Motocykle

Jakoś na początku lat sześćdziesiątych, a może trochę wcześniej, pojawiła się nowa pasja – motocykle. Chyba nie było w tamtych czasach chłopaka, który by o motocyklu nie marzył. A nie było to tanie marzenie. Niejeden kilka lat pieniądze ciułał, żeby kupić upragniony sprzęt. W naszej paczce było kilku takich szczęśliwców, nazwaliśmy naszą grupę KS Szpula, a jeździło się na tym, co kto miał. Pamiętam, że Tadzio Warsza miał WFM, Czesiek Wojciechowski - Jawę, Genek Szymczak i Tadek Kot jeździli na Junakach, ja miałem Pannonię. Organizowaliśmy zawody z torem przeszkód na boisku: trasa prowadziła do Jeziorki, potem był krótki odcinek rzeką, powrót pod górę, skok z motocyklem, przejazd po wąskiej desce i podjazd do mety; na boisku albo przy upuście odbywały się zawody na wzór myśliwskiego Hubertusa , taka pogoń za lisem, urządzaliśmy jazdy sprawnościowe na Górkach Szymona. Tłumy ludzi przychodziły nas oglądać.



Zawodnicy klubu Kolejarz na zawodach w Płocku, lata pięćdziesiąte.
Fot. archiwum Tadeusza Warszy

Co roku jeździliśmy całą paczką do Zakopanego oglądać Międzynarodowy Rajd Tatrzański i zawsze jakieś przygody mieliśmy w drodze albo na miejscu. Przy którymś wyjeździe, po postoju w Białobrzegach, nie mogłem motoru uruchomić. Chciałem wsiąść z tzw. pychu. Rozpiąłem długi, kolejarski płaszcz, w którym jechałem, rozpędziłem się z motorem, skoczyłem na podnóżek - a ten się ułamał. Koledzy do dziś wspominają, że leciałem przed siebie w rozwianym płaszczu jak Batman. Mieszkaliśmy na Cyrli w góralskim gospodarstwie, na śniadania zjeżdżaliśmy do baru mlecznego w Zakopanem i urządzaliśmy przy tym zawody, kto pierwszy dojedzie. Można było tylko raz odepchnąć się na szczycie Cyrli i ponad osiemset metrów w dół zjeżdżało się siłą rozpędu.

*****

Wszystko to przeminęło z naszą młodością. Zostały wspomnienia – jedne trwają w pamięci jasne i wyraźne, inne spłowiały jak stare zdjęcia, wszystkie tak samo cenne. Byliśmy wtedy jak wielka rodzina, w której bywają zatargi, kłótnie, ale najważniejsza jest solidarność, lojalność. Życie rozproszyło naszą paczkę po świecie, ale wciąż jesteśmy złączeni przyjaźnią, która zrodziła się w czasie naszej sportowej młodości. Wiem, że kilka osób zrobiło sportową karierę, m. in. Andrzej Krychowski: świetny trener lekkoatletyki, pracował w wielu klubach sportowych, był trenerem kadry narodowej Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, Andrzej Zarzycki: wyczynowo grał w siatkówkę, był trenerem, Tadek Kępka: trener kadry biegaczek, trener reprezentacji lekkoatletyki w Meksyku, Majka Malanowska: grała w reprezentacji Polski w siatkówce, jej zespół zdobył mistrzostwo świata. Kilku pasjonatów działając społecznie w piaseczyńskich stowarzyszeniach czy komitetach zrobiło wiele, aby w naszym mieście sport miał możliwość rozwoju, ja od początku lat dziewięćdziesiątych pracuję w Gminnym Ośrodku Sportu i Rekreacji. Od dawna jestem na emeryturze, ale nadal prowadzę treningi piłkarskie dla juniorów i marzę, by zdrowie pozwoliło mi na tę pracę jak najdłużej.



Tadeusz Rudnicki

Andrzej Zawiślak_Layout 1 2016-12-28 09:44 Strona 93

Wspomina Andrzej Zawiślak

Obie strony ulicy Sienkiewicza

Cieszy mnie, że powstała poprzednia książka pt. „Łapmy stare Piaseczno". Znam dobrze Piaseczno, bo tu się urodziłem i w czasie lektury wracało wiele wspomnień. Myślę, że warto rozszerzyć informacje tamtej publikacji o historię ulicy Sienkiewicza, o której nikt jeszcze nie mówił. To dla mnie ważne miejsce, bo tam stoi mój rodzinny dom. Chciałbym opowiedzieć o mieszkańcach tej ulicy, o sklepikach i warsztatach rzemieślniczych mieszczących się przy niej w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych.



Edward Zawiślak, lata pięćdziesiąte
Fot. archiwum Andrzeja Zawiślaka

Prawa strona ulicy

Ulica Sienkiewicza ciągnie się od ulicy Kościuszki do wiaduktu. Zaraz przy skrzyżowaniu z Kościuszki, po prawej stronie stoi wysoki murowany dom (obecnie nr 2), kiedyś na parterze mieścił się tam zakład szewski pana Stanisława Chodasza oraz sklep spożywczy, popularna *Jedynka*, w którym sprzedawano bardzo dobrą marmoladę w metalowych pojemnikach.

Idąc dalej prawą stroną ulicy mija się murowany budynek (obecnie nr 4), w którym, także na parterze był sklep warzywno - spożywczy państwa Kluczyków oraz zakład krawiecki pana Antoniego Roszkowskiego. Między tym budynkiem a kolejnym, czyli domem państwa Rowińskich, była nieduża wolna przestrzeń, stały tam dwie budki, w jednej pan Stanisław Przestępny sprzedawał pyszne lody a potem pączki.

Dom państwa Rowińskich (obecnie nr 6) zbudowano w latach trzydziestych XX w. Za moich młodzieńczych czasów na parterze budynku był bardzo ładny sklep z wędlinami i mięsem i zakład fryzjerski pana Tralewicza - ojca, na piętrach były mieszkania, w podwórku znajdowała się mała masarnia państwa Danielewiczów. Dalej stoi piętrowy, murowany budynek należący do państwa Krasuckich (obecnie nr 8).

Andrzej Zawiślak_Layout 1 2016-12-28 09:44 Strona 94



Piaseczno, koniec lat 70. XX w., widok na ulicę Sienkiewicza.
Fot. archiwum Jacek Mrówczyński

Przed przecinającą Sienkiewicza ulicą Czajewicza, stał drewniany budynek, w którym mieszkali państwo Boreccy oraz Kazik i Jurek Łascy. Kazik był dobrze zbudowany, silny i wszyscy się go bali. Na dachu tego domu rosła brzózka, dziś nie ma śladu po tym budynku. Za skrzyżowaniem stał budynek państwa Kwiatkowskich (obecnie nr 10) a za nim były dwie dwie budki. W jednej pani Niemczyk sprzedawała pieczywo, a w drugiej można było kupić prasę i papierosy.

Skręcając z Sienkiewicza w ulicę Czajewicza zobaczymy po lewej stronie ładne budynki powiatowego wydziału geodezji i katastru (obecnie Czajewicza 20). Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych w tych budynkach znajdowały się warsztaty i szkoła zawodowa. W latach pięćdziesiątych, gdy ja chodziłem do tej szkoły, w tym miejscu były tylko warsztaty, a na zajęcia szkolne chodziliśmy na ulicę Zgoda 14 do budynku, który przed wojną należał do sióstr pasterzanek. Siostry prowadziły tam zakład wychowawczy dla dziewcząt, które były w trudnej sytuacji życiowej. W czasie wojny Niemcy wysiedlili siostry i dziewczyny. Po wyzwoleniu siostry wróciły, ale pod koniec lat czterdziestych budynki przejęła ówczesna władza. W suterenach był Państwowy Dom Młodzieży dla dziewczyn, piętra zajmowała nasza szkoła i liceum ogólnokształcące. Pamiętam, że czasem w piątki organizowaliśmy wspólnie z dziewczynami z PDM-u wieczorki taneczne.

Następnie jest wjazd na teren stacji kolejki wąskotorowej, skąd przecinając ulicę Wojska Polskiego (dawniej Hanki Sawickiej, wcześniej Kopernika) biegną tory w stronę Zalesia i dalej. Pani Samulska, nauczycielka w szkole podstawowej przy Świętojańskiej miała na tym zakrę-



Piaseczno, rok 1959, warsztaty Szkoły Zawodowej przy ul. Czajewicza, uczniowie podczas egzaminu zawodowego, z lewej prof. Edward Rowiński, z prawej stoją: nn, Kacprzak z Baniochy, Janek Waligóra z Zalesia Górnego, Andrzej Zawiślak. Fot. archiwum Andrzeja Zawiślaka

cie wypadek kolejowy, w wyniku którego zmarła. Pani Samulska była moją wychowawczynią od I do V klasy. Była bardzo dobrą wychowawczynią i nauczycielką, całej mojej klasie było żal, że nie żyje. Z tych wczesnych lat szkolnych pamiętam, że w klasach II i III dostawaliśmy codziennie łyżeczkę tranu. Były też seanse filmowe. Co jakiś czas przyjeżdżał pan, który miał aparat do wyświetlania filmów. Filmiki były krótkie, seanse odbywały się w suterenie, ale dla nas to była wielka radocha.

Piaseczno, rok 1959 warsztaty Szkoły Zawodowej przy ul. Czajewicza, egzamin zawodowy, z prawej prof. Edward Rowiński. Fot. archiwum Andrzeja Zawiślaka



Za ulicą Wojska Polskiego stał duży, ładny budynek państwa Bobrowskich, mieszkał w nim dyrektor szkoły zawodowej p. Roman Andrzejewski, dziś w tym miejscu stoi duży blok z punktami usługowymi na parterze (obecnie nr 58).

Dalej, przy ulicy Kniaziewicza stał stary, drewniany budynek państwa Umeckich, u których w podwórku był ręczny magiel, a za tą ulicą była posesja pana Matysiaka (później Mariana Orłowicza). Mieszkał tam Heniek Szade, który na akordeonie i perkusji grywał na zabawach w baraku przy ul. Dworcowej.

Kolejną ulicą dochodzącą do Sienkiewicza jest Bema. Dzisiaj od Bema aż do ulicy Dworcowej stoją bloki osiedla wybudowanego około 2010 roku. Dawniej były tam pola uprawne, między nimi, za posesją państwa Kłosiewiczów, była wydeptana ścieżka, którą na skróty przechodziło się do stacji kolejowej PKP. Ze starej zabudowy został dom państwa Makowskich wzniesiony w 1957 roku, obecnie otoczony blokami oraz dom państwa Pasieczników, którzy zajmowali się produkcją kapci i hodowali króliki. Pamiątką po bardzo ładnym domu państwa Boczkowskich są filary leżące przy postawionym w tym miejscu bloku.

Przy prowadzącej do stacji PKP ulicy Dworcowej stoją do dzisiaj budynki kolejowe, z których część była przeznaczona na mieszkania dla kolejarzy i ich rodzin, m. in. mieszkali tam państwo Kazimierczykowie, Fąfara, Brajbiszowie. Miałem wielu kolegów z rodzin kolejarskich – Włodek, Mirek i Łukasz Fąfara, Marek Brajbisz i jego brat. Pamiętam, jak razem zbieraliśmy butelki i sprzedawaliśmy je w punkcie skupu, a za uzyskane pieniądze kupiliśmy pierwszą piłkę skórzaną, sznurowaną do gry w piłkę ręczną, popularnego szczypiorniaka.



Piaseczno, początek lat sześćdziesiątych, zawody piłkarskie, na pierwszym planie Andrzej Zawiślak
Fot. archiwum Andrzeja Zawiślaka

Lewa strona ulicy

Po lewej stronie ulicy Sienkiewicza było więcej zabudowań niż po prawej. Przy skrzyżowaniu z Kościuszki jako pierwszy stał długi, drewniany dom, w którym mieszkali państwo Barcikowie. To tutaj był sklep prowadzony przez panią Zofię Wieczorkiewiczową. Sprzedawała artykuły pasmanteryjne, tanią biżuterię, a gdy w latach sześćdziesiątych pojawiły się w Polsce pierwsze adaptery *Bambino* można było u niej kupić także płyty gramofonowe. Dom państwa Barcików został wyburzony w latach sześćdziesiątych, a sklep przeniesiony do stojącej naprzeciwko kamienicy państwa Rowińskich. Pani Zofia zmarła w latach siedemdziesiątych i dość szybko po jej śmierci sklep przestał istnieć.

Następna była posesja państwa Roszkiewiczów, którzy zajmowali się przewoźnictwem, mieli konie i wozy tzw. platformy a pan Roszkiewicz jeździł bryczką. Dalej stał budynek (obecnie 3a), w którym mieściły się sklepy i zakłady rzemieślnicze. Kolejno były to: zakład fotograficzny Renau, męski zakład fryzjerski pana Gorżankina, prowadzona przez panią Bieńkowską cukiernia z pysznymi ciastkami, pracownia krawiecka pana Zwierzyńskiego i sklep z odzieżą damską pani Ostaszewskiej.

Narożny budynek przy zbiegu Sienkiewicza i Czajewicza (obecnie nr 5) zbudowano w 1911 roku. Za moich czasów na parterze mieścił się zakład fryzjerski syna pana Tralewicza, Krzysztofa, (zakład został otworzony po śmierci pana Tralewicza - ojca) oraz sklep mięsno – wędliniarski, w którym sprzedawali państwo Kwiatkowscy. Obecnie budynek jest nadpalony i przeznaczony do rozbiórki.

Za Czajewicza stoi niski, murowany budynek należący do państwa Gerberów. (obecnie nr 9) Dawniej był w nim Rolniczy Bank Spółdzielczy, do którego wchodziło się od tyłu budynku, od frontu mieszkała rodzina państwa Zaleskich. Pan Zaleski był furmanem, jeździł koniem, którego nazywał *Błyskawica*.

Między tym starym budynkiem a kolejnym, czyli znanym chyba wszystkim mieszkańcom Piaseczna dawnym kinem *Mewa* (obecnie nr 11), stoi w głębi ulicy, niemalże schowana przed oczami przechodniów, willa państwa Gerberów (obecnie nr 9a).

Kino, które jeszcze przed wojną należało do państwa Gerberów, zostało w latach pięćdziesiątych upaństwowione, ale od kilku lat znów należy do dawnych właścicieli, dzisiaj w budynku jest restauracja. W latach sześćdziesiątych kierownikiem kina był pan Koch, jego żona, bardzo ładna kobieta, sprzedawała w kinie bilety. Państwo Kochowie mieszkali przy ulicy Mickiewicza. Pan Koch był przystojny, elegancki, pamiętam go jeżdżącego po mieście na włoskim skuterze Lambretcie.

Za kinem, na rogu Sienkiewicza i Gerbera, stoi duży dom państwa Poncyliuszów (obecnie nr 13), na parterze budynku były sklepy: mięsny i monopolowy. Kolega Heniek Kozłowski miał tu przygodę. Kierowca zatrzymał się Żukiem przed sklepem, zostawił w kabinie pasażerkę i wyskoczył po alkohol. Samochód bez kierowcy zaczął toczyć się po lekkim spadku terenu skręcając przy tym na drugą stronę jezdni. Przerażona kobieta wyskoczyła z szoferki a Heniek dogonił auto, siadł za kierownicą i zatrzymał Żuka. Kierowca miał głupią minę, gdy wyszedł ze sklepu i chyba już zawsze pamiętał o zaciąganiu hamulca.

Za ulicą Gerbera jest mały budynek (obecnie nr 15), w którym była pracownia krawiecka pana Sawickiego, praktykował tam trzy lub cztery lata mój kuzyn, Jerzy Liwiński, od 1955 roku do dziś pracownię prowadzi Kazimierz Orlik.

Andrzej Zawiślak_Layout 1 2016-12-28 09:44 Strona 98



Kino „Mewa" lipiec 1970 roku.
Fot. archiwum Muzeum Regionalnego w Piasecznie

Następny dom (obecnie nr 17 i 17a) jest jednym ze starszych przy Sienkiewicza, był kiedyś własnością państwa Dąbrowskich, którzy prowadzili magazyn z nasionami.

Przed ulicą Mickiewicza znajduje się dom państwa Zielińskich (obecnie nr 19), zanim go pobudowano, w rogu działki stała budka z warzywami i napojami pani Zielińskiej. Posesja za ulicą Mickiewicza należy do państwa Chruścińskich (obecnie nr 21).

Kolejną ulicą łączącą się z Sienkiewicza jest Szpitalna. Przed nią stoi dom państwa Zembrzuskich (obecnie nr 23). Dzisiaj budynek popada w ruinę, dawniej na dole była pracownia krawiecka pana Zembrzuskiego, który był bardzo dobrym krawcem.

Za Szpitalną jest posesja państwa Jabłonkowskich (obecnie nr 25). Pan Marian Jabłonkowski miał dużą gospodarkę, dwa piękne konie, hodował krowy, okoliczni mieszkańcy kupowali u niego świeże, pyszne mleko. Jego pasją była hodowla gołębi, jak na tamte czasy miał duże i piękne stado. Następna działka (obecnie nr 27) należała do państwa Ostaszewskich, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych była tu restauracja *Kineskop*. To była fajna restauracja z dobrym jedzeniem, odbywały się w niej okolicznościowe imprezy, teraz w tym budynku sprzedawane są farby i lakiery. Znajdująca się dalej działka należąca do państwa Makowskich długo była niezabudowana, dzisiaj swój dom mają tam państwo Kozdrowiczowie (obecnie nr 29).

Dalej jest posesja moich rodziców, Janiny i Edwarda Zawiślaków (obecnie nr 31). Nasz dom zbudowano przed wojną. W czasie wojny była bieda, trzeba było sobie jakoś radzić. Rodzice hodowali kozę, żeby dzieci miały mleko. Żeby było czym dom ogrzać chodziliśmy z ojcem po węgiel na skład opałowy na kolejce. Skład był pilnowany przez niemieckich żołnierzy, ale

jeden z nich przynosił mojej matce rzeczy do prania i chyba za pranie miał z ojcem cichą umowę, co do węgla. Mówił ojcu, kiedy ma służbę, ojciec brał dwa wiadra, trzymałem się pałąka jednego z nich i szliśmy po węgiel, a żołnierz udawał, że nie widzi, co się dzieje.

Ojciec był dyplomowanym ślusarzem, miał warsztat, w którym zatrudniał trzech czeladników Henryka i Ryszarda Mirkowskich oraz Włodzimierza Marcinkowskiego. W 1949 roku zdarzył się w naszym domu wypadek. W piwnicy stała wytwornica do wytwarzania acetylenu, który w połączeniu z tlenem daje odpowiedni płomień w czasie spawania. Z jakiegoś powodu w pomieszczeniu nazbierał się gaz i doszło do wybuchu. Huku i dymu było tyle, że sąsiedzi przybiegli na pomoc. Byłem wtedy w domu z mamą i siostrami, Elą i Tereską, na szczęście, nikomu z nas nic się nie stało.

Rok później ojciec miał wypadek samochodowy. W tym czasie Sienkiewicza miała brukowaną nawierzchnię i akurat ją naprawiano. Wzdłuż ulicy po prawej stronie stały od samego wiaduktu aż do ulicy Kościuszki furmanki z kamieniem potrzebnym do remontu. Ojciec wyjeżdżał na motorze z Mickiewicza wolno skręcając w lewo, a od wiaduktu jechała ciężarówka, jej kierowca, który podobno był *po kielichu*, odbił nagle w ojca stronę i stało się nieszczęście. Wypadek miał miejsce 4 sierpnia, a 12 września ojciec zmarł w szpitalu w Warszawie. Kierowca nie został ukarany. W czasie, gdy ojciec był w szpitalu, zaledwie kilka dni po jego wypadku, urodził się mój brat, Włodzimierz.

Kolejne posiadłości po tej stronie ulicy należały do państwa Nalewczyńskich i państwa Paprockich (obecnie nr 35 i 35 a). Za posesją 35a od Sienkiewicza odchodzi uliczka Zagajnikowa, kiedyś była to polna droga, przy której zbudowano stojące do dziś domy państwa Turkowskich i Lenartów. Ostatnim budynkiem przed wiaduktem był dom państwa Sikorskich. Pan Sikorski miał warsztat rowerowy przy rynku w kamienicy państwa Gerberów.

W sześćdziesiątych latach sześciu właścicielom mieszkającym między Szpitalną a Zagajnikową zabrano szeroki pas ziemi - od miejsca, w którym teraz jest ulica Korczaka aż do lasu. Część tego terenu przeznaczono pod wspomnianą przeze mnie ulicę, na części wybudowano Zespół Szkół Elektryczno - Mechanicznych im. gen. Zygmunta Berlinga, a na pozostałym kawałku planowano rozbudowę szpitala. Szpital mieścił się wtedy pod lasem w budynku przy ulicy Mickiewicza. Były tam trzy oddziały: chirurgia, wewnętrzny i ginekologia. Pracowali w nim bardzo dobrzy i znani w Piasecznie lekarze - między innymi dr Stefan Żegliński, dr Tadeusz Gerber, którym zawdzięczam życie. Z czasem okazało się, że rozbudowa szpitala na tym terenie jest niemożliwa, bo za blisko przebiega linia kolejowa. Teren do dziś stoi pusty, zaniedbany, porośnięty drzewami i krzewami.

Starałem się jak najwierniej odtworzyć obraz dawnej ulicy i jej mieszkańców. Dla mnie jest to najbliższe sercu miejsce w Piasecznie, tam się urodziłem, wychowałem.

Chciałbym podzielić się jeszcze kilkoma wspomnieniami. Jedno dotyczy znanej restauracji *Kaktus* przy ulicy Kościuszki, do której często zaglądali na obiady piłkarze, wśród nich i ja. Było to bardzo przyjemne miejsce z dobrym jedzeniem. Latem można było posiedzieć przy stolikach ustawionych w ogródku. Zapamiętałem charakterystyczne starsze, eleganckie małżeństwo, siadali zawsze w rogu na końcu sali, po skończonym posiłku siedzieli jeszcze dłuższy czas i bardzo ładnie śpiewali półgłosem *Czerwone maki na Monte Cassino*.

Idąc dalej ulicą Kościuszki dochodzimy do istniejącego dziś małego ronda im. Solidarności. Po lewej stronie ronda, trochę w głębi ulicy Kilińskiego, stoją budynki, dziś bardzo

Andrzej Zawiślak_Layout 1 2016-12-28 09:44 Strona 100

już zniszczone, należące do państwa Obłąkowskich. Tuż po wojnie, w jednym z budynków mieściła się stacja dawnego radiowęzła, wszystkie komunikaty w nim nadawane odczytywał pan Bogdański, fryzjer.

Kolejna historia związana jest z piłką nożną. W tamtym czasie w piaseczyńskich drużynach sportowych było wielu wspaniałych zawodników, ale jeden piłkarz był wyjątkowy, bo nie miał ręki. *Kukła*, czyli Rysio Pijanowski, doskonale pływał, świetnie radził sobie na boisku i był lubiany. Podczas któregoś meczu sędzia podyktował rzut wolny, bo ręka była, a kibice zaczęli krzyczeć: *On nie ma ręki! Sędzia kalosz!*

W latach sześćdziesiątych na rogu ulic Chyliczkowskiej i Warszawskiej, tam gdzie teraz jest księgarnia Bzyk, była mała stacja benzynowa zlikwidowana na początku lat siedemdziesiątych. Za ulicą Młynarską a przed kuźnią[1] w tych samych czasach była duża baza transportowa Transbud.

Przy ulicy Kościuszki 24 w podwórku, było Przedsiębiorstwa Spółdzielni Społem, pracował w niej Tadeusz Gawlikowski, drugi mąż mojej mamy. Masarnia nie miała chłodni, w zimie furmani tłukli lód na Jeziorce i przywozili do masarni lodowe bryły. Na miejscu przesypywano je drobnymi trocinami a potem przechowywano między nimi mięso.

Pamiętam też, że w pomieszczeniu obecnej kawiarni na rogu ulic Kościuszki i Kościelnej był sklep rybny. Jeszcze dziś mogę pokazać miejsce, w którym stały drewniane beczki pełne śledzi.

Za wiaduktem, przy Pomorskiej latem były zabawy na dechach. Był bar polowy, grała orkiestra, tańczyło się na drewnianym podeście. Pierwszy taniec rozpoczynał zawsze pan Marzec, kolejne trzy – cztery kawałki były za darmo, a za następne trzeba już było płacić. Od czasu do czasu organizatorzy sprawdzali, czy wszystkie tańczące pary miały bilety i był wstyd, gdy przyłapano kogoś na gapę.

Gdy opowiada się o dawnym Piasecznie ciągle przypomina się coś nowego. Ostatnio często rozmawiamy o minionych czasach z kolegami i zdarzają się nawet kłótnie, bo pewne rzeczy każdy pamięta inaczej. Dobrze, że historia miasta jest spisywana. W ten sposób nasze wnuki będą mogły poznać świat, w którym żyli ich dziadkowie.

Andrzej Zawiślak



[1]Kuźnia pana Wielgrocha (dop. red.)